

## "KŁOPOTY RODU POŻYCZALSKICH"

Autor: Mary Norton

Tłumaczyła: Maria Wisłowska

Nasza Księgarnia Warszawa 1986

### Rozdział Pierwszy

Pani May opowiedziała o tym najpierw mnie.

Nie,, mnie. Jak mogłaby opowiedzieć mnie - nieporządnej,

powolnej dziewczynie o chmurnych oczach, która naPewno zgrzytała w nocy zębami? tylko Kasi. Tak , nie mnie, , ta dziewczynka nazywała się Kasia.

A zresztą imię nie ma znaczenia. Po prostu w tym opowiadaniu będzie mowa o Kasi. w domu rodziców Kasi w Londynie Pani May wynajmowała dwa pokoje. Była jakąś ich krewną. Sypialnia jej znajdowała się na pierwszym piętrze ale mieszkała właściwie w pokoju śniadaniowym. Najładniej wygląda pokój śniadaniowy, gdy Słońce świeci rano, kiedy pokój wypełniają słoiki z marmoladą, po południu przejrzyste światło i wtedy, przed zmierzchem, robi się jakoś dziwnie smutno. Ale Kasia, była mała, lubiła ten smutek. Popołudniu, wchodziła cichutko do pokoju pani May. O tej porze, koło piątej May uczyła ją szydełkowania. Pani May była niemłoda, zreumatyzowana i właściwie nie tyle surowa, ile pewna słuszności swego postępowania. W obecności pani May Kasia nie była nigdy ani nieporządna, ani "dzika", ani samowolna. Pani May uczyła ją także wielu innych rzeczy, nie tylko szydełkowania,

na przykład: jak zwijać wełnę w jajowaty kłębek,

jak dziergać dziurki i ładnie cerować pończochy, jak

porządkować szuflady i jak zakrywać to, co w nich

się mieści, szeleszczącą materią dla ochrony przed kurzem. - Dlaczego jesteś taka cichutka, moje dziecko?

- zapytała pani May któregoś dnia, gdy Kasia siedziała beczynn timer, nieco przygarbiona, na małym wyścielanym stołeczku. - Co ci się stało? Zgubiłaś języczek? - Nie - odrzekła Kasia bawiąc się guzikiem na

swym pantofelku. - Zgubiłam szydełko... (Obie robiły

szydełkowaną kołdrę; do wykończenia pozostało jeszcze

trzydzieści kwadratów. Wiem, gdzie je położyłam - dodała szybko - na najniższej półce z książkami, zaraz za moim łóżkiem.

- Na najniższej półce? - powtórzyła pani May,

, a jej szydełko migotało raz po raz w blasku ognia palącego się na kominku. - Blisko podłogi? - Tak -

odparła Kasia. - Szukałam także i na

podłodze. Pod dywanem. Wszędzie. Tylko wełna leżała

na tym samym miejscu, tam gdzie ją zostawiłam.

- Och, moja droga! - zawołała pani May. - Nie chcesz chyba powiedzieć, że oni są także i w tym domu.

- Kto? - spytała Kasia.

- Pożyczalscy - rzekła pani May i wydawało się w półmroku, że się uśmiecha.

, Kasia spojrzała na nią, trochę wystraszona.

Naprawdę istnieje coś takiego? - zapytała po chwili.

- Co takiego?

Kasia zamrużyła parę razy powiekami

- Takie ludki... takie dziwne domowe ludki, które

pożyczają sobie różne rzeczy.

Pani May odłożyła swoją robótkę.

- Jak to rozumiesz? - spytała.

- Nie wiem sama - odparła Kasia, patrząc gdzieś w bok i pociągając mocniej guzik od pantofelka. Nie, to niemożliwe. A jednak - podniosła głowę jednak czasami wydaje się, że oni muszą tu gdzieś być.

- Dlaczego myślisz, że muszą tu gdzieś być? - spytała pani May.

- Dlatego, że wciąż giną jakieś rzeczy. Agraftki na przykład. Fabryki wciąż wyrabiają agraftki, ludzie wciąż kupują, a agraftki nigdy nie można znaleźć, kiedy jest potrzebna. Gdzie one się podziewają? Gdzie są teraz, =w tej chwili? Mama kupuje stale, już chyba zbierałoby się kilka setek - muszą przecież gdzieś leżeć, nie mogą być porozrzucane po całym domu!

- Nie, nie mogą być porozrzucane po całym domu - powtórzyła pani May. - I różne inne rzeczy, które ciągle się kupuje.

Wciąż, wciąż, wciąż. Na przykład ołówki i pudełko z zapalnikami, i lak, i zapinki do włosów, i pilniczki, i napałki...

- I szpilki do kapeluszy - wtrąciła pani May - i bibuła do atramentu. - Bibuła też - zgodziła się Kasia. - Ale szpilki do kapeluszy...

- A właśnie, że się mylisz - rzekła pani May i znów sięgnęła po swoją robótkę. - Dla szpilek do kapeluszy również można znaleźć wytłumaczenie.

Kasia spojrzała na panią May zdziwiona.

- Jakie wytłumaczenie? - spytała.

- Szpilka do kapelusza może służyć jako broń. Ale pani May roześmiała się nagle - ale to wszystko brzmi tak bezsensownie i... - zawahała się chwilę - to było już tak dawno. - Niech pani powie - poprosiła Kasia - skąd pani

wie o tych szpilkach do kapeluszy. Czy pani kiedy widziała sama?

Pani May rzuciła na nią zdziwione spojrzenie.

- Tak, naturalnie... - zaczęła, ale Kasia przerwała jej niecierpliwie:

- Nie chodzi mi o szpilki do kapeluszy, przecież wiem, że pani je widziała... ale czy któregoś z tych... jak to pani przedtem powiedziała... Pożyczalskich? Pani May westchnęła.

- Nie - odparła szybko - nie widziałam nigdy.

- Ale widział ktoś inny - zawołała Kasia - i pani o tym wie! Tak, pani wie coś o tym!

- Uspokój się! - uciszyła ją pani May. - Nie trzeba mówić tak głośno!

Uśmiechnęła się widząc zamyśloną twarzyczkę Kasi, zmrużyła oczy, jak gdyby patrzyła gdzieś w dal, i zaczęła z wolna: - Miałam brata... Kasia przyklęła na stoleczku.

- I on ich widział?

- Nie wiem - pani May potrząsnęła głową. - Tego właśnie nie wiem.

Wygładziła robótkę leżącą na kolanach.

- Z mego brata był taki kpiarz... Opowiadał nam

dużo różnych historii, a wszystkie jednakowo nieprawdopodobne. Brat nie żyje - dodała ciszej - zginął już dawno. Był pułkownikiem, walczył na północnozachodnim pograniczu. Poległ, jak to się mówi, śmiercią bohatera. - Jedyne brat? - spytała Kasia.

- Tak, to był nasz jedyny, młodszy brat... Przypuszczam, że właśnie dlatego... - Pani May zamyśliła się na chwilę i znów uśmiechnęła do siebie - tak, chyba właśnie dlatego miał takie różne dziwne pomysły i lubił opowiadać niestworzone historie. Zazdrościł nam pewno, że jesteśmy od niego starsze i że umiemy czytać lepiej niż on. A może jeszcze i dlatego - pani May patrzyła przed siebie zamyślona - że byliśmy wychowani w Indiach, w kraju tajemnic, legend i czarów. Było w nim coś... coś, co każe nam wierzyć, że on widzi takie rzeczy, jakich nikt inny nie widzi. Czasem domyślałyśmy się, że on żartuje sobie z nas, ale czasem, no, nie byliśmy tego takie pewne... Pani May schyliła się i z właściwym sobie zamilowaniem do porządku zmioła kupkę popiołu pod ruszt, po czym,

trzymając wciąż jeszcze szczotkę w ręku, zapatrzyła się w ogień. - Jako chłopiec był dość wątłego zdrowia: za pierwszym razem, gdy wróciliśmy z Indii, zapadł na zapalenie stawów i opuścił całe półrocze w szkole. Trzeba było wysłać go na wieś, żeby mógł szybciej wrócić do zdrowia. Pojechał więc do naszej ciotki. Później i ja tam przyjechałam. Był to bardzo dziwny, stary dom... Pani May zawiesiła szczotkę na miedzianym haczyku, otarła ręce chusteczką i powróciła do swojej robótki. - Zapal lampę - powiedziała. - Jeszcze nie teraz - poprosiła Kasia. - Proszę; niech pani opowiada dalej. - Opowiedziałam ci już wszystko.

- O, nie, nie wszystko! Stary dom... Czy nie tam zobaczył... zobaczył... tych? . Pani May uśmiechnęła się. - Chcesz wiedzieć, gdzie on widział te domowe ludki? Właśnie tam, tak nam mówił... i chciał, żebyśmy mu wierzyły. Zdało się, że sam nie widział ich nigdy, ale wiedział o nich wszystko. Brał udział w ich życiu, tak jakby istniały naprawdę. Można by powiedzieć, że sam prawie stał się Pożyczalskim. - Och, niech mi pani to opowie, błagam! Proszę postarać się przypomnieć sobie wszystko od początku! - Ależ ja dobrze wszystko pamiętam - rzekła pani May. - Chociaż to dość dziwne, pamiętam o wiele lepiej niż inne rzeczy, które wydarzyły się naprawdę. A może i to także wydarzyło się naprawdę? Nie wiem, sama nie wiem. Gdy wracaliśmy do Indii, miałam z bratem wspólną kabinę na statku - moja siostra zajmowała inną, razem z naszą guwernantką. Noce były bardzo gorące, nie mogliśmy długo zasnąć i gadaliśmy oboje całymi godzinami. Powtarzał mi rozmowy z nimi, opowiadał najrozmaitsze szczegóły, interesowało go, jacy oni są i co robią, i co... - A jak oni się nazywali?

- Dominika, Strączek i mała - Arietta.

- Strączek? Jakże to dziwne imię!

- Takie właśnie mają dziwne imiona. Wyobrażają sobie, że sami je wymyślili, ale przecież od razu wiadomo, że zapożyczyli je od ludzi. Tak samo, jak i wuj Arietty Henryk, i jego córka - Eggletina. Wszystko, co posiadają, jest pożyczone. Nie mają nic własnego. A mimo to są podobno bardzo drażliwi i zarozumiali i uważają, że cały świat do nich należy. - Jak to: cały świat?

- Uważają, że ludzie zostali stworzeni tylko do brudnej roboty, że są to duzi niewolnicy, których mają prawo wykorzystywać. Tak przynajmniej mówią między sobą. Ale brat przypuszczał, że w gruncie rzeczy bardzo się boją. I dlatego, że wciąż są tacy wystraszeni, wcale nie rosną. Z każdym pokoleniem stawali się coraz mniejsi i mniejsi, aż wreszcie stali się tacy mali, że mogą schować się w mysiej dziurce. Dawniej nasi przodkowie w Anglii mówili zupełnie otwarcie, że ludki domowe istnieją. - Tak - przytaknęła Kasia - słyszałam o tym.

- A teraz, jeśli nawet są jeszcze - ciągnęła pani May - to znaleźć ich można tylko w domach bardzo starych i bardzo spokojnych, gdzieś na głuchej wsi, tam gdzie ludzie mają stałe przyzwyczajenia. To ich chroni, te stałe przyzwyczajenia ludzi - muszą wiedzieć, z których pokoi i w jakiej porze ludzie korzystają. Nie zostaną dłużej w miejscu, gdzie ludzie są niedbali, dzieci niesforne, a zwierzęta pokojowe - niezdolne. Ten stary dom na wsi był jak dla nich stworzony, chociaż może i wydawał się im trochę zimny i pusty. Ciotka Zofia nie wstawiała nigdy z łóżka - przed dwudziestu laty padła ofiarą wypadku na polowaniu - a prócz niej w domu była tylko służba: gospodyni Dorota, ogrodnik Felicjan i przychodząca od czasu do czasu sprzątaczką. Brat po przyjeździe na wieś musiał dużo leżeć w łóżku i przez pierwszych parę tygodni domowe ludki w ogóle nie wiedziały, że w tym domu jest chłopiec. Sypiał w dzieciennym pokoju, znajdującym się za dawną klasą szkolną. Ta dawna klasa szkolna została zamieniona na łazidło i

cała zavalona była różnymi gratami. Stały tam jakieś dziwaczne kufry, połamana maszyna do szycia, stare biurko, stół, kilka krzeseł, jakiś manekin krawiecki, niemodna pianola \*, bo przecież dzieci, które na niej grały - dzieci ciotki Zofii - dawno już powyrastały, pozakładały własne domy, powyjeżdżały lub poumierały. Pokój dziecienny sąsiadował z klasą, brat mógł więc widzieć ze swojego łóżka wiszący nad kominkiem obraz olejny, przedstawiający "Bitwę pod Waterloo", a przy ścianie oszkloną szafkę, w której stał na półce bardzo stary, delikatnej roboty serwis do herbaty dla lalek. W nocy, gdy drzwi do klasy były otwarte, widział przed sobą oświetlony korytarzyk, prowadzący na klatkę schodową. Co wieczór, kiedy się ściemniało, w korytarzyku pojawiała się gospodyni Dorota, niosąc do pokoju ciotki Zofii tacę, a na tacy: kryształową karafkę z winem madera i paterę z pysznymi herbatnikami. Wchodząc na schody, Dorota zatrzymywała się i przykręcała gaz w małym korytarzyku, tak żeby palił się tylko przyćmionym, niebieskawym płomykiem. Brat czekał, aż poczłapie z powrotem po schodach i zniknie mu z oczu między słupkami balustrady. Za tym korytarzykiem, w hallu, stał zegar i brat słyszał nieraz w nocy, jak wybijał godziny. Był to zegar dziadka, bardzo stary. Zegarmistrz, pan Ludwik, przychodził co miesiąc nakręcać go. Dawniej przychodził jego ojciec, a jeszcze dawniej - jego dziadek. Od osiemdziesięciu lat, jak twierdził pan Ludwik, zegar nie stanął ani razu, a także i przez wiele lat przedtem, o ile mógł to ktoś pamiętać. Najważniejsze było jednak, że nie przesuwano go nigdy na inne miejsce. Stał oparty o ścianę krytą boazerią, a kamienne flizy wokół niego były szorowane tak często, że - jak brat mówił - zapadły się w głąb. I właśnie pod tym zegarem, poniżej boazerii, znajdowała się dziura...

## ROZDZIAŁ DRUGI

To była dziura Strączka - najdalej wysunięty punkt obronny; wejście do jego domu. Nie, dom jego nie znajdował się blisko zegara, wprost przeciwnie - jeśli tak można powiedzieć. Najpierw ciągnął się długi, ciemny, zakurzony korytarz z drewnianymi drzwiczkami pomiędzy belkami i z metalowymi brankami, żeby broniły dostępu myszom. Do budowy tych bramek Strączek używał rozmaitych rzeczy, jak płaska blaszka z tarki do sera, wieczko na zawiasach od skarbonki, kwadracik dziurawego cynku ze starej lodówki, druciana packa na muchy. "Nie boję się myszy - mówiła Dominika - ale nie znoszę ich zapachu". Daremnie mała Arietta prosiła, że chce mieć małą myszkę dla siebie, taką malusieńką, ślepą myszkę, żeby mogła ją sama prowadzić za łapkę - "taką, jaką miała Eggletina". Ale Dominika brzękała głośno pokrywką od patelni i wołała: "I widzisz, co się stało z Eggletiną!" "Co się stało? - pytała Arietta. - Co się stało z Eggletiną?" Ale nikt nie chciał jej tego powiedzieć. Tylko Strączek znał drogę poprzez krzyżujące się przejścia do dziury pod zegarem. I tylko Strączek umiał otwierać bramki. Były zamykane na bardzo skomplikowane zasuwki, zrobione z agrafek i z zapinek do włosów, i tylko Strączek znał tajemnicę ich otwierania. Jego żona i córeczka zajmowały zaciszne mieszkanko pod podłogą kuchni, wolne od ryzyka i niebezpieczeństw, na jakie narażony był cały dom nad nimi. Zamiast okna w murze znajdowała się krata, tuż poniżej poziomu podłogi kuchennej, i Arietta mogła przez tę kratę obserwować ogród: kawałek żwirowanej ścieżki i ławeczkę, i krokusy kwitnące wiosną, i płatki osypujące się z niewidocznych drzew, później rozkwitające krzewy azalii, gdy zaś przelatywały ptaki - widziała, jak czuły się, a czasem były ze sobą. - Ileż ty godzin tracisz na przyglądanie się tym ptakom! - mówiła Dominika. - A jak trzeba coś pomóc w gospodarstwie, nigdy nie masz na to czasu. Ja wychowałam się w domu, w którym nie było żadnych krat, i byliśmy o wiele szczęśliwsi. No, a teraz idź i przynieś mi kartofel. Arietta, tocząc przed sobą kartofel ze spiżarni zakurzoną dróżką pod deskami podłogi, kopnęła go z taką złością, że wleciał gwałtownie do kuchni, gdzie Dominika stała pochylona nad blachą. - Idź jeszcze raz! - zawołała Dominika, odwracając się z gniewem. - Wpadł mi prawie do zupy. A jak mówię "kartofel", to wiesz dobrze, że nie mam na myśli całego kartofla. Weź nożyczki i odkraj plasterek. - Nie wiedziałam, ile ci trzeba - mruknęła Arietta.

Tymczasem Dominika, pociągając nosem i posapując, zdjęła z gwoźdźca na ścianie jedno ostrze nożyczek od manicure i zabrała się do obierania ziemniaka. - Zniszczyłaś ten kartofel - gderала. - Nie warto go nawet odnosić z powrotem; zakurzy się, bo jest skałeczony. - Och, wielkie mi rzeczy! - zawołała Arietta. Leży ich tam całe mnóstwo! - Dobrze ci tak mówić! Całe mnóstwo! - ciągnęła Dominika z powagą, odkładając ostrze nożyczek na bok. - Czy zdajesz sobie sprawę, że twój biedny ojciec ryzykuje życiem za każdym razem, gdy pożycza kartofel? - Chciałam tylko powiedzieć - rzekła Arietta - że mnóstwo kartofli jest w naszej spiżarni. - Mniejsza o to, co chciałaś powiedzieć - rzekła Dominika, uwijając się z pośpiechem - a teraz usuń mi się z drogi i pozwól mi przygotować kolację. Arietta weszła przez otwarte drzwi do bawialni. Ogień płonął na kominku i w całym pokoju było jasno i przytulnie. Dominika bardzo szczyciła się swą bawialnią: ściany były wytapetowane skrawkami starych listów powyciąganych z koszy od śmieci, a Dominika tak to obmyśliła, że zapisane stroniczki ciągnęły się pionowymi pasami od podłogi do sufitu. Na ścianach wisiały portrety królowej Wiktorii z jej młodych lat, w różnych kolorach. Były to znaczki pocztowe, które Strączek pożyczył przed kilkanaście laty z pudełka znajdującego się na biurku w gabinecie. Stało tu również lakierowane puzderko do biżuterii, wypchane wewnątrz po brzegi i z podniesionym wieczkiem, zastępujące kanapę, i bardzo przydatny sprzęt: komoda zrobiona z pudełek od zapalek. Był również prostokątny stolik nakryty aksamitną serwetą bordo, który Strączek sam sporządził z denka drewnianego pudełka, podpierając je rzeźbioną nóżką konika szachowego. (Z tego powodu "na górze" było wielkie zmartwienie, gdy najstarszy syn ciotki Zofii wpadł na krótką wizytę w środę tygodnia i zaprosił wikarego na "partyjkę szachów po obiedzie". Pokojówka Róża obraziła się wówczas i podziękowała za służbę. Gdy odeszła, stwierdzono po pewnym czasie brak także i wielu innych rzeczy i odtąd domem rządziła już niepodzielnie Dorota). Sam konik - jego popiersie, jeśli tak rzecz można - stał na kolumience w rogu, gdzie prezentował się bardzo okazale, nadając całemu mieszkanku atmosferę artystyczną, jaką nadać mogą tylko dzieła sztuki. Obok kominka, w krytej drewnianej szafce, stała biblioteczka Arietty. Był to zbiór miniaturowych tomików, w jakich lubowano się

za czasów królowej Wiktorii. Z powodu ich maleńkich rozmiarów nazywano je biblioteką Tomcia Palucha, lecz Arietcie wydawały się one olbrzymimi tomiskami. Był tu "Słownik geograficzny" zawierający ostatnie spisy ludności, "Słownik" fachowych wyrazów naukowych, filozoficznych, literackich i technicznych, "Komedie" Williama Szekspira z przedmową o autorze i wreszcie wymieniona na ostatku, ale wcale nie najmniej ważna, ulubiona książka Arietty: "Diariusz" z "Księgą przysłów", zawierająca na każdy dzień roku jakąś "złotą myśl", i ze wstępem opisującym szczegółowo życiorys człowieczka zwanego Tomciem Paluchem, który był generałem i ożenił się z Lawinią Bump. W książce tej

był sztych przedstawiający ich karetkę zaprzężoną w dwa małe koniki - tak małe, jak myszki. Arietta nie była głupia i wiedziała, że konie nie mogą być takie małe, jak myszki. Nie zdawała sobie jednak sprawy, że Tomcio Paluch, mający wzrostu nieco więcej niż pół metra, w porównaniu z domowymi ludkami był olbrzymem. Arietta nauczyła się czytać na tych książkach, a pisać ze skrawków listów przyklejonych do ścian. Mimo to nie zawsze zaglądała do "Księgi przysłów", chociaż często miała ochotę zobaczyć, jaka "złota myśl" przypada na dany dzień: może będzie jakaś krzepiąca? Na dziś była taka rada: "Nie chciej zbyt wiele!", a pod tym napis: "Order Podwiązki, ustanowiony w roku 1348". Arietta przyniosła "Diariusz" do kominka i usiadła, opierając stopy na podnóżku. - Co ty tam robisz, Arietto? - zapytała Dominika z kuchni. - Piszę w moim dzienniku.

- Och! - zawołała Dominika krótko.

- A co chcesz? - zapytała Arietta.

Czuła się całkowicie bezpieczna. Dominika lubiła, gdy Arietta coś sobie pisała. Sama, biedaczka, nie знаła nawet abecadła. - Nic, nic - odparła gniewnie Dominika; brzękając pokrywkami. - Zrobię to później sama. Arietta sięgnęła po ołówek. Był to mały, biały ołówek z kawałkiem przywiązanego jedwabnego sznureczka, ołówek z karnetu do tańca, ale chociaż taki niewielki, w rączkach Arietty wyglądał jak wałek do ciasta. - Arietto! - znów dobiegło wołanie z kuchni.

Co?

- Dorzuć do ognia, dobrze?

Arietta zebrała wszystkie siły, uniosła księgę z kolan i postawiła ją pionowo na podłodze. Opał - to jest stearynę z połamanych lub zwiotczałych świec - trzymano w cynowym słoiku od musztardy, a wybierano łyżeczką zamiast szuflki. Arietta wsypała do ognia parę okruszków stearyny, przechyliwszy ostrożnie łyżeczkę od musztardy, żeby nie stłumić płomienia. Stała tuż przy kominku, rozkoszując się ciepłem. Był to prześliczny kominek, który sporządził dziadek Arietty z koła zębatego ze starej prasy do wyciskania soku z jabłek. Szprychy koła tworzyły jakby sztywne promienie, a palenisko mieściło się w samym środku. Nad rusztem znajdował się okap, utworzony z małego miedzianego lejka, odwróconego "do góry nogami". Lejek ten należał niegdyś do lampki oliwnej, stojącej za dawnych czasów na stole w hallu na pierwszym piętrze. Dym wydostawał się na zewnątrz, do komina kuchennego, poprzez układ rurki wychodzących z szyjki lejka. Ogień rozpalano za pomocą drzazg z zapalek i podsycano stearyną. Jeśli nawet wypalił się już, żelazo pozostawało gorące, tak że Dominika mogła na szprychach koła ugotować zupę w srebrnym naparstku, a Arietta prażyć orzechy. Jakie przyjemne były te zimowe wieczory! Arietta, z wielką księgą na kolanach, czasami czytała na głos. Strączek siedział nad kopytem szewskim (z giemzowych rękawiczek wyrabiał buciki zapinane na guziczki. ostatnio, niestety, już tylko dla swej najbliższej rodziny), a Dominika robiła na drutach. Dominika robiła swetry i pończochy, używając zamiast drutów szpilek z czarnymi główkami, a czasem igieł do cerowania. Duża szpulka jedwabnych nici lub bawełny, wysokości stołu, stała za jej krzesłem i czasami, gdy Dominika szarpnęła zbyt mocno, szpulka przewracała się i toczyła, a nić rozwijała się i ciągnęła poprzez otwarte drzwi aż na zakurzony korytarzyk i wówczas wysyłano Ariettę, by ostrożnie nawinęła ją z powrotem na szpulkę. Podłoga w bawialni była wyłożona czerwoną bibulą, która wytwarzała nastrój ciepła i przytulności wyciągała wilgoć. Dominika lubiła odnawiać to pokrycie podłogi, o ile udało się zdobyć bibulę, ale od czasu gdy ciotka Zofia nie opuszczała łóżka, Dorota nie pamiętała o bibule, chyba że przyjeżdżali goście, co jednak zdarzało się rzadko. Dominika lubiła takie rzeczy, które zaoszczędzały jej prania, gdyż suszenie upranych ubrań i bielizny w tych warunkach kosztowało ją wiele trudu. Za to wody mieli pod dostatkiem, zimnej i gorącej, gdyż ojciec Strączka przeprowadził rurki od kotła w kuchni "na górze". Kapali się w

małej wannie, która była pudełkiem po pasztecie sztrasburskim. Po kąpieli zakrywało się wannę pokrywką, żeby kto nie wrzucił czasem czegoś do środka. Mydło, wielki kawał mydła wisiał na gwoździu w umywalni i każdy odłamywał sobie mały kawałek. Dominika najbardziej lubiła mydło dziegciowe, ale Strączek i Arietta woleli mydło z zapachem drzewa sandałowego. - A co teraz robisz, Arietto? - zawołała Dominika.

- Piszę wciąż jeszcze w dzienniku.

Arietta po raz drugi dźwignęła księgę i ułożyła na kolanach. W głębokim zamyśleniu, z oczyma utkwionymi w dal, gryzła koniuszek swego ogromnego ołówka. Każdego dnia (o ile tylko pamiętała) wpisywała jedną małą linijkę, wiedziała bowiem - i to z całą pewnością - że nie dostanie już nigdy drugiego dziennika, i jeśli uda jej się zmieścić na każdej stronie dwadzieścia linijek, dzienniczka starczy jej na dwadzieścia lat. Miała go już prawie dwa lata i dzisiaj, 22 marca, odczytała zapis z ubiegłego roku: "Mama się gniewa". Zastanawiała się dłuższą chwilę, po czym postawiła dwa cudzysłowy na znak powtórzenia pod wyrazem "mama", a pod "gniewa się" napisała: "martwi się". - Coś ty powiedziała, Arietto? Co teraz robisz? znów dobiegło wołanie z kuchni. Arietta zamknęła księgę.

- Nic - odrzekła.

- No to bądź grzeczna i pokrój mi cebulę. Tak już późno, a ojca wciąż jeszcze nie widać...

## ROZDZIAŁ TRZECI

westchnąwszy Arietta odłożyła swój dziennik i poszła do kuchni. Wzięła od Dominiki pusty w środku krążek cebuli, zawiesiła go sobie lekko wokół ramion i zaczęła szukać żyłki. - Ależ, Arietto! - zawołała Dominika z oburzeniem. - Nie na czysty sweter! Chcesz pachnieć jak wiadro z odpadkami? Masz tu nożyczki. Arietta przeskoczyła przez krążek cebuli, jak gdyby to była obręcz do zabawy, i zgrabnie pokrajała go na kawałki.

- Ojciec się spóźnia - szepnęła Dominika - i muszę ci powiedzieć, że to z mojej winy. Och, moja droga, moja droga! Wolalabym, żeby. . . - Co byś wołała? - przerwała jej Arietta. Oczywiście miała zażawione, a nasek wilgotny. Otarła go rękawem. Zatraskana Dominika odgarnęła ręką kosmyk włosów znad czoła i spojrzała na Ariettę niewidzącymi oczyma. - Ta filiżanka, którąś ty stłukła... - zaczęła. - Ale to było już tak dawno! - broniła się Arietta, mrugając powiekami i pociągając nosem. - Wiem. Wiem. To nie ty. To ja. Nie chodzi o to, kto stłukł, tylko o to, co ja wtedy powiedziałam ojcu. - A coś ty powiedziała?

- No, powiedziałam właśnie, że to ostatnia nasza filiżanka z serwisu, który stoi w oszklonej szafce... tam na górze. W pokoju szkolnym. - Cóż w tym złego? - zapytała Arietta, wrzucając po kawałeczku cebulę do zupy. - Ale ta szafka jest bardzo wysoka! - zawołała Dominika. - Wdrapać się do niej trzeba po firance. A ojciec, w jego wieku. . . Przysiadła na korku od szampana z metalową główką. - Och, Arietto, jakże żałuję, że o tym wspomniałam!

- Nie martw się - pocieszała ją Arietta. - Tatuś wie, co ma robić.

Wyciągnęła gumowy koreczek od flakonika perfum, zatykający rurkę z gorącą wodą, i poczekała, aż nakapie kilka kropel wrzątku do wieczka fiolki po aspirynie. Dolała zimnej wody i w tej miedniczce umyła ręce. - Może i masz rację - rzekła Dominika. - Ale ja tak nalegałam wtedy! Po co nam potrzebna taka filiżanka! Wuj Henryk pił zawsze tylko z kubeczków wydrążonych ze zwykłych żołądzi, a dożył podeszłego wieku i miał jeszcze dość sił, żeby wyemigrować. Rodzina mojej matki nie używała nigdy niczego innego, tylko kościanego napatka, który przechodził od ust do ust. No, ale skoroś ty już raz dostała filiżankę... jeśli rozumiesz, co chcę przez to powiedzieć. . . - Rozumiem - odparła Arietta, wycierając dłonie o ręcznik z bandaża zwiniętego w rolkę. - Najgorzej z tą firanką! - wykrzyknęła znowu Dominika. - On nie może wspinać się po firance! W tym wieku!

- Jeśli ma szpilkę, to może - odrzekła Arietta.

- Szpilkę! Weź szpilkę od kapelusza, powiedziałam mu, przywiąż wstążeczkę ze swoim imieniem do jej główki i zacznij wspinać się na górę. Było to wtedy, kiedy posłałam go, by pożyczył wysadzany szmaragdami zegarek z Jej sypialni, bo nie miałam przy czym gotować głoś Dominiki załamane się naraz. - Twoja matka jest niegodziwa, Arietto! Niegodziwa i samolubna... taka jest twoja matka!

- Wiesz co?! - zawołała Arietta nagle.

Dominika strząsnęła łzy z rzęs.

- Nie - rzekła słabym głosem. - Co?

- Ja mogłabym wdrapywać się po firance!

Dominika zerwała się.

- Nie wolno ci mówić tak spokojnie podobnych rzeczy, Arietto! - Ale ja mogę! Naprawdę mogę! Wiem, jak pożyczać! Mogę pożyczać sama! - Och! - dyszała ciężko Dominika. - Ty niegodziwa dziewczyno! Jak możesz tak mówić! - i znów usiadła na taborecie z korka. - Do czego to już doszło! - Mamo, proszę cię, nie bierz tego wszystkiego na siebie... - prosiła Arietta. - Ale czy ty nie widzisz, Arietto... - zaczęła matka, z trudem łapiąc oddech. Spuściła głowę, nie odrywając wzroku od stołu, i jak gdyby zaniemówiła. Kiedy wreszcie podniosła głowę, na twarzy jej malowało się wielkie wzburzenie.

- Moje biedne dziecko - dokończyła - nie mów w ten sposób o pożyczaniu. Nie wiesz i miejmy nadzieję, nie będziesz wiedziała nigdy - zniżyła głos do szeptu jak to jest tam na górze... Arietta zamilkła.

- Jak jest? - zapytała po dłuższej chwili.

Dominika otarła twarz fartuchem i przyglądała włosy.

- Wuj Henryk... - zaczęła. - Ojciec Eggleitiny... i znów urwała. - Słuchaj! - zawołała po chwili. - Co to jest?



Z daleka rozbrzmiał jakiś odgłos - jakby głuchy szczęk, obijając się echem o drewniane ściany. - Ojciec! - zawołała Dominika. - Och, spójrz na mnie ! Gdzie grzebień? Znalazły go: był to mały, srebrny, staroświecki grzebyk z serwantki w salonie na pierwszym piętrze. Dominika przyczesła włosy, przemyła swe biedne, zaczerwienione oczy i w chwili gdy mąż wszedł, była już uśmiechnięta i w świeżo wyprasowanym fartuszu.

## ROZDZIAŁ czwarty

Strączek wszedł cichutko z workiem na plecach. Oparł o ścianę szpilkę od kapelusza, wraz z przywiązaną do niej wstążeczką ze swym imieniem, i postawił na stole kuchennym filiżankę z serwisu lalek, nie większą niż miseczki do mieszania farb. - Słuchaj, Strączku... - zaczęła Dominika.

- Przyniosłem także spodek - przerwał jej Strączek.

Rozkołysał worek na plecach, żeby łatwiej go zdjąć.

- Masz tu - rzekł wyjmując z worka spodek. Przymierz do filiżanki. Twarzyczkę miał okrągłą jak bułeczka z rodzynkami. Ale tego wieczora wyglądał bardzo mizernie. - Och, Strączku - rzekła Dominika - wyglądasz tak jakoś dziwnie! Dobrze się czujesz? Strączek usiadł.

- Czuję się nie najgorzej - odrzekł.

- Wdrapywałeś się po firance - powiedziała Dominika z wyrzutem. Och, mój drogi, nie powinieneś był tego robić! Ręce ci się trzęsły...

Strączek zrobił dziwną minę i wskazał oczyma na Ariettę. Dominika popatrzyła na niego z półotwartymi ustami i odwróciła się po chwili.

- Idź, Arietto - rzekła nagle - i połóż się do łóżka jak grzeczna dziewczynka, a ja przyniosę ci kolację.

- Ale ja wpierw chciałabym zobaczyć, co tatuś przyniósł.

- Tatuś nie przyniósł nic więcej. Trochę zapasów. Idź się położyć. Filiżankę ze spodkiem już widziałas.

Arietta poszła do pokoju, żeby zabrać swój dziennik.

Dłuższą chwilę nie mogła uporać się ze świeczką, którą chciała przymocować do odwróconej pinezki, służącej za lichtarzyk. - Co ty tam robisz tyle czasu? - gderała Dominika. Daj ją tutaj. O, widzisz, w ten sposób... A teraz idź spać i porządnie złóż swoją sukienkę, pamiętaj. - Dobranoc, tatusiu! - rzekła Arietta, całując ojca w policzek.

- Ostrożnie ze świecą - ostrzegł ją machinalnie i odprowadził wzrokiem, dopóki nie zniknęła za drzwiami.

- No, a teraz - rzekła Dominika, gdy zostali samipowiedz mi, co się stało? Strączek spojrział na nią zmieszany.

- Byłem widziany - odrzekł.

Dominika oparła się ręką o stół i wolno opuściła się na taboret. - Och, mój drogi... - zaczęła i urwała. Zapanowało dłuższe milczenie. Strączek nie odrywał wzroku od Dominiki, a Dominika nie odrywała wzroku od stołu. Po pewnym czasie podniosła głowę.

- Czy to bardzo źle?... - zapytała.

Strączek poruszył się niespokojnie.

- Nie wiem, czy to źle, czy bardzo źle. Widziano mnie. To ci nie wystarczy?

- Nikt z nas jeszcze nie był widziany od czasu, kiedy Henryk... ale to było podobno przed czterdziestu pięciu laty. - Dominika, wylękniona, uchwyciła się kurczowo stołu. - To fatalne, mój kochany!... Ja nie chcę emigrować! - Nikt tego od ciebie nie żąda - odparł Strączek.

- Wyjść stąd i zamieszkać tak jak Henryk i Lucy w norze borsuka, het, na drugim końcu świata, jak to sami mówią... I żyć wśród robaków, brrr! - To tylko dwa pola dalej, zaraz za krzakami - sprostował Strączek. - Orzechy i jagody... oto, czym się żywią! Nie zdziwiłabym się, gdybym się dowiedziała; że jedzą myszy... - I tyś sama też kiedyś jadła mysz - przypomniał jej Strączek.

- Przeciągi i zimno na otwartym powietrzu i dzieci rosną jak dzikie. Pomyśl o Ariettce! - mówiła Dominika - Pomyśl tylko, jak ona była dotychczas chowana. Jedyne nasze dziecko! Może to przypłacić śmiercią. Inna rzecz, jeśli chodzi o Henryka. - Dlaczego? Miał przecież więcej dzieci, aż pięcioro.

- Właśnie dlatego - wyjaśniła Dominika. - Gdy się ma pięciorko, to się tak na nie nie chucha. Ale nie mówmy teraz o tym. Kto cię widział?

- Chłopiec - odparł Strączek.

- Co? - wykrzyknęła Dominika, otwierając szeroko oczy.

- Chłopiec - Strączek zakreslił obiema rękami w powietrzu kontury ludzkiego ciała. - No, Chłopiec, rozumiesz. - Ale tam przecież dzieci już nie ma... Chłopiec? Jaki Chłopiec?

- Nie rozumiem twego pytania. Chłopiec jak inni.

W nocnej koszuli. Już wiesz teraz?

- Wiem - odparła Dominika - wiem, co to jest "chłopiec". Ale chłopców nie było w tym domu od dwudziestu lat. - Możliwe - zgodził się Strączek - ale teraz właśnie jeden jest.

Dominika spojrzała na niego w milczeniu, a Strączek wytrzymał jej wzrok. - Gdzie on cię widział?

- W pokoju szkolnym.

- W chwili gdy brałeś filiżankę?

- Tak - potwierdził Strączek.

- Czy ty nie masz oczu? Nie mogłeś rozejrzeć się przedtem? - W pokoju szkolnym nigdy nie ma nikogo. I co najdziwniejsze - ciągnął Strączek - dziś także nie widziałem nikogo. - W takim razie... gdzie on był?

- W łóżku. W pokoju dzieciennym czy jak to się tam nazywa. Tam właśnie był. Siedział w łóżku, a drzwi były otwarte. - No, dobrze, a nie mogłeś zajrzeć do dzieciennego?

- W jaki sposób? Byłem już w pół drogi na firance.

- I tam cię zobaczył?

- Tak.

- Z filiżanką?

- Tak. Nie mogłem ani wspiąć się w górę, ani zejść na dół. - Och, mój Strączku! - biadała Dominika. - Nie powinnam była pozwolić ci iść tam! W twoim wieku! - Mylisz się, moja droga - zaprotestował Strączek. - Złamałaś mi rozum. Wspiąłem się doskonale. Przeskakiwałem z miejsca na miejsce jak ptak, rzecz można, nie zwracając uwagi, fałdy czy nie fałdy. Ale potem... - nachylił się do niej tajemniczo - z filiżanką w ręku, rozumiesz sama... (Mówiąc to, podniósł filiżankę). Widzisz, jest dość ciężka. Najlepiej trzymać ją za uszko, o tak... ale też wypada z ręki, wyslizguje się, rzecz można. Musiałem nieść ją oburącz. Kawałek sera leżał na półeczce - czy też może jabłka - zrzuciłem go, no tak, popchnąłem i spadł. Ale z filiżanką - rozumiesz, jak to trudno? Schodząc trzeba bardzo uważać na nogi. A nie wszędzie były frędzelki. Nie wiadomo, czego się trzymać, żeby czuć się bezpiecznym... - Ach, Strączku! - rzekła Dominika z oczyma pełnymi łez. - I coś ty wtedy zrobił? - Wtedy stało się - mówił Strączek i znów usiadł. Odebrał mi filiżankę. - Co takiego?! - wykrzyknęła Dominika, struchlała.

Strączek unikał jej wzroku.

- No, więc siedział w łóżku i patrzył na mnie. Trzymałem się firanki przez dobre dziesięć minut - zegar w hallu właśnie wybił kwadrans...

- Ale co to znaczy... "odebrał filiżankę"?

- Wstał z łóżka, stanął i patrzył na mnie. "Wezmę tę filiżankę" - powiedział.

- Ach! - Dominika z trudem łapała oddech. - I dałeś mu ją? - Odebrał mi - odparł Strączek. - Nawet dość łagodnie. A gdy zszedłem na dół, oddał mi ją z powrotem. Dominika ukryła twarz w dłoniach.

- Mógł cię złapać - wyszeptała zdławionym głosem.

- Prawda - przyznał Strączek. - Ale nie zrobił tego. Oddał mi filiżankę i powiedział: "Masz, weź sobie". Dominika podniosła głowę.

- I co my teraz zrobimy? Strączek westchnął.

- No, cóż, niewiele możemy zrobić. Chyba że...

- O, nie! - przerwała mu Dominika. - Tylko nie to!

Byle nie emigrować! Byle nie to, mój drogi, teraz, kiedy tak polubiłam ten dom i zegar, i wszystko... - Zegar moglibyśmy zabrać - rzekł Strączek.

- A Arietta? Co z nią? Jest inna niż jej kuzynki. Umie czytać i szyć. . . i. . . - On przecież nie wie, gdzie my mieszkamy - bronił się Strączek. - Ale oni nas już wypatrzą! - zawołała Dominika. Przypomnij sobie Henryka! Sprowadzą kota i... - No, no! - przerwał jej Strączek. - Nie wracaj do przeszłości! - Ale

powinieneś pamiętać o tym! Sprowadzą kota

i wtedy. . .

- Masz rację - rzekł Strączek. - Ale z Eggletina było zupełnie inaczej.

- Jak to: inaczej? Była w tym samym wieku co Arietta.

- Widzisz, nie powiedzieli jej nic. Popelnili błąd.

Starali się wmówić jej, że nie ma nic poza tym, co znajduje się pod podłogą. Nigdy nie opowiadali jej o Dorocie ani o Felicjanie, a tym bardziej - o kotach. - Bo też nie było tam żadnego kota - upierała się Dominika - aż do czasu, dopóki Henryk nie został widziany. - Ale potem już był - rzekł Strączek. - Takie rzeczy trzeba mówić, to właśnie powiadam, jak się nie mówi dzieciom nic, starają się widzieć na własną rękę. - Strączku - rzekła Dominika z powagą - nie powiedzieliśmy nic Ariecie. - Och, ona i tak wie - rzekł Strączek i poruszył się niespokojnie. - Wygląda przecież przez tę swoją kratę. - Ale nie wie nic o Eggletinie. Nie wie, co znaczy być widzianym. - Dobrze, powiem jej - zgodził się Strączek. Zawsze mówimy jej wszystko, co powinna wiedzieć. Ale nie ma z tym pośpiechu. Dominika wstała.

- Strączku - oświadczyła stanowczo - powiemy jej jeszcze dziś wieczorem.

## ROZDZIAŁ PIĄTY

Arietta nie spała. Leżała pod swoją włóczkową kołderką i wpatrywała się w sufit. Był to sufit bardzo interesujący. Strączek zbudował sypialnię dla Arietty z dwóch pudełek od cygar. Na jednym wieku, które posłużyło za sufit, pięknie wymalowane damy w powiewnych, tiulowych szatach dęły w długie trąby, zwrócone ku błękitnemu niebu; w głębi znajdowały się pierzaste palmy i małe, białe domki wokół placu. Było to piękne malowidło, jaśniejące barwami w blasku świateł, ale dziś Arietta patrzyła na nie niewidzącymi oczyma. Drewniane pudełka od cygar mają cienkie ścianki i Arietta, leżąc cichutko, wyciągnięta pod kołdrę, słyszała wzburzone głosy rodziców, już to podnoszące się, już to zniżające się do szeptu. Usłyszała, gdy wymieniali jej imię. Usłyszała, jak Dominika mówiła: "Orzechy i jagody... oto, czym się żywią!", a po chwili jej rozdzierający okrzyk: "I co my teraz zrobimy?" Toteż gdy Dominika zjawiała się przy jej łóżeczku, owinięta się posłusznie kołderką i podreptała bosymi nogami po zakurzonej korytarzu. W ciepłej kuchni usiadła na małym stołeczku. Złożywszy obie ręce na zwartych kolanach i drżąc nieco z zimna, przenosiła pytające spojrzenie z twarzy ojca na twarz matki i z powrotem. Dominika przyklękła na podłodze i objęła ramieniem szczupłe ramionka Arietty. - Arietto - rzekła z powagą - czy wiesz coś o tym, co się dzieje na górze?

- O czym? - spytała Arietta.

- Wiesz o tych dwóch olbrzymach?

- Tak - odparła dziewczynka. - Jest tam stara pani Zofia i gospodyni Dorota. - Tak jest - przytaknęła Dominika - i ogrodnik Felician.

Położyła szorstką rękę na splecionych dłoniach Arietty. - A wiesz coś o wuju Henryku? Arietta zastanawiała się chwilę.

- Wyjechał za granicę? - zapytała.

- Wyemigrował - poprawiła Dominika - na drugi

koniec świata. Razem z ciocią Lucy i z dziećmi. do nory

borsuka - do dziury w nasypie pod żywopłotem z dzikich róż. Jak myślisz: dlaczego to zrobił? - Ach! -

zawołała Arietta i twarzyczka jej się rozjaśniła. - Móc być na powietrzu... leżeć na słońcu... tarzać się w

trawie... skakać z gałęzi na gałąź jak ptak... wysysać miód... - Bzdury, Arietto! - osadziła ją matka ostro. -

To brzydkie przyzwyczajenia! A biedny wuj Henryk tak cierpi na reumatyzm! Wyemigrował - ciągnęła

po chwili, akcentując z naciskiem każde słowo - dlatego, że był widziany. - Ach, tak?! - zawołała Arietta.

- Dnia 23 kwietnia roku 1892 zobaczyła go Róża Tupurek na gzymsie kominka w salonie... I w wielu innych miejscach - dodała po chwili. - Ach! - znów zawołała Arietta.

. - Nikt nie umiał mi powiedzieć i nie wiem do dzisiejszego dnia, po co on zalał na gzyms kominka w salonie. Nie ma tam nic takiego, jak zapewniał mnie twój ojciec, czego nie można by zobaczyć z podłogi albo gdy stanie się z boku na uchwycie od szuflady biurka, albo też przez dziurkę od klucza. Tak właśnie robi twój ojciec, jeśli zdarzy mu się kiedy znaleźć w pobliżu salonu. - Podobno była tam pigułka - wtrącił Strączek.

- Co to znaczy? - zapytała Dominika zdziwiona.

- Lekarstwo na wątrobę dla Lucy - wyjaśnił Strączek. - Ktoś mu powiedział - mówił dalej - że na gzymsie

kominka w salonie stoją zawsze pigułki. - Och! - zawołała Dominika w zamyśleniu. - Nigdy o tym nie

słyszałam! Wszystko jedno zresztą - mówiła dalej - to było głupie i ryzykowne. Zejść stamtąd nie można

inaczej, jak zsuwając się po sznurze od dzwonka. Stał tak cicho obok figurki amorka, że Róża byłaby go

nie zauważyła, gdyby nie kichnął nagle, kiedy zamachnęła się miotłą z piór do odkurzania. Róża była

nową pokojówką, rozumiesz, i nie znała jeszcze dobrze wszystkich ornamentów na gzymsie. Wrzasnęła

tak głośno, że słyszeliśmy aż tutaj, pod kuchnią. A później już nigdy nie udało się jej nakłonić, żeby

odkurzyła cokolwiek, co nie było krzesłem lub stołem, lub w ostateczności dywanikiem z tygrysiej skóry.

- Ja prawie nigdy nie wchodzę do salonu - rzekł Strączek. - To tylko zawracanie głowy. Wszystko tam ma

swoje miejsce i oni od razu zauważą, jak czegoś zabraknie. Czasem zostawało coś na stole albo pod

krzesłem, ale tylko wtedy, gdy jakieś większe towarzystwo zasiadało przy stole. Nie zdarza się to już

jednak od dziesięciu czy dwunastu lat. Mogę wymienić wam z pamięci każdą rzecz, jaka stoi w

tym przeklętym salonie, począwszy od serwantki przy oknie aż do... - Mnóstwo rzeczy jest w tej serwantce - przerwała mu Dominika - a niektóre nawet bardzo solidne, całe ze srebra. Są tam na przykład srebrne skrzypce ze strunami, ślicznie wykończone... Przydałyby się dla naszej Arietty! - Cóż z tego - rzekł Strączek - skoro to wszystko jest za szybami?

- A nie można by stłuc tych szyb? - zaproponowała Arietta. - Tylko w samym rożku, tylko leciutko uderzyć, tylko. . . Zająknęła się, gdyż spostrzegła na twarzy ojca wyraz zgorszonego zdumienia. - Ależ zrozum, Arietto zaczęła Dominika gniewnie, ale po chwili opanowała się i tylko dała lekkiego klapsa córce po jej splecionych rączkach. - Ona nie wie dobrze, co to jest pożyczanie - broniła córki. - Nie gniewaj się na nią, Strączku!

Po chwili zwróciła się znów do Arietty:

- Pożyczanie to zajęcie wymagające dużych umiejętności, to prawie sztuka. Ze wszystkich rodzin, które mieszkały w tym domu, uchowała się jedynie nasza... a wiesz dlaczego? Dlatego, że twój ojciec, Arietto, jest najlepszym Pożyczalskim, jakiego znano w tych stronach - jeszcze od czasów twojego pradziadka. Nawet ciotka Lucy musiała to przyznać. Gdy był młodszy, widziałam nieraz, jak wędrował wzdłuż nakrytego stołu, tuż przed samym obiadem, i z każdej tacy ścigał orzeszek albo cukierek, a potem szybciotko zbiegał po fałdzie obrusa, gdy ktoś stał we drzwiach. A robił to wszystko tylko dla zabawy - prawda, Strączku? Strączek uśmiechnął się z zażenowaniem.

- Tak, to nie miało wielkiego sensu - rzekł.

- Być może - zgodziła się Dominika. - Robiłeś to jednak! Czy kto inny odważyłby się na coś podobnego?

- Byłem wtedy znacznie młodszy - odpowiedział Strączek z westchnieniem. I po chwili zwrócił się do Arietty:

- Tłuc szyb nie wolno, moje dziecko. Takie sposoby do niczego nie prowadzą. To już nie byłoby pożyczanie, tylko... - Byliśmy wtedy bogaci! - ciągnęła Dominika rozmarzona. - Ach, ile mieliśmy pięknych rzeczy! Byłaś wówczas jeszcze malutka, Arietto, nie możesz tego pamiętać. Mieliśmy cały garnitur orzechowych mebli z domku dla lalek i komplet kieliszków do wina z zielonego szkła, i grającą tabakierkę, i przychodzili do nas krewni z wizytą, i urządzaliśmy przyjęcia. Pamiętasz, Strączku? Nie tylko krewni. Przychodzili także Klawesyńscy. I wielu, wielu innych - prawie wszyscy, prócz Gzysowiczów z pokoju śniadaniowego. I tańczyliśmy, hasaliśmy do upadłego, i młodzież odpoczywała, szukając ochłody przy kratkach. Tabakierka grała takie śliczne melodie: "Klementynę", i "Boże, chroń królową", i polkę galopkę "Dylizans pocztowy". Wszyscy nam zazdrościli, nawet Gzysowicze. . . - A kto to byli ci Gzysowicze? - zapytała Arietta.

- O, nieraz już słyszałaś o Gzysowiczach, na pewno albo opowiadałam ci o nich - rzekła Dominika. - Strasznie zadzierali nosa. Może dlatego, że mieszkali wysoko na ścianie, pomiędzy ornamentami rytymi w drzewie a sztukaterią gipsową nad kominkiem w pokoju śniadaniowym. Bardzo dziwni byli oni wszyscy. Mężczyźni ciągle palili fajki, bo na okapie kominka stały pudełka z tytoniem; wdrapywali się na rzeźbione ozdoby, wszędzie było ich pełno. Zjeżdżali po słupkach na dół. A kobiety były strasznie próżne: wciąż się przeglądały w odłamkach lustra znad kominka. Oni nigdy nie zapraszali nikogo do siebie, ja zresztą nie miałam ochoty do nich przychodzić. Taka wysokość to nie dla mnie, zaraz w głowie mi się kręci, a i ojciec nie lubił tych mężczyzn. Ojciec był zawsze bardzo zrównoważony, a tam w pokoju śniadaniowym stały nie tylko pudełka z tytoniem, ale i karafki z whisky i podobno ci Gzysowicze wypijali resztki ze szklanek, ciągnąc przez tutki do czyszczenia fajek, które także leżały na parapecie kominka. Nie wiem, czy to prawda, ale powiadają, że Gzysowicze urządzali przyjęcia co wtorek, po wizycie notariusza w pokoju śniadaniowym, który przychodził do państwa porozmawiać o interesach. Leżeli podobno pijani jak bele - tak przynajmniej opowiadano - na zielonej pluszowej serwecie, obok żelaznych kasetek i ksiąg buchalteryjnych... - Przestań, Dominiko! - przerwał jej Strączek, który nie lubił plotek. - Ja sam nigdy tego nie widziałem. - Widzę, że starasz się puścić to w niepamięć, Strączku. A przecież gdyśmy się pobrali, mówiłeś, żeby nie zapraszać Gzysowiczów.

- Bo mieszkają za wysoko - rzekł Strączek. - Tylko dlatego.

- Ale że była to banda leniuchów, temu już nie zaprzeczysz, prawda? Nigdy nie mieli domu ani ogniska rodzinnego. W zimie grzali się przy kominku, a żywili tylko resztkami ze śniadania. Bo w tym pokoju, ma się rozumieć, jadano tylko śniadania. - I coś się z nimi stało później? - zapytała Arietta.

- Otóż gdy pan zmarł, a pani zachorowała, pokój śniadaniowy przestał być tym czym był przedtem. Gzymsowicze musieli się więc wynosić. Cóż innego im pozostało? Ani ognia, ani jadła... W zimie jest tam po prostu lodownia. - A Klawesyńscy? - zapytała Arietta. Dominika zamyśliła się.

- Widzisz, z nimi była trochę inna sprawa. Nie powiem, że nie zadzierali nosa tak samo, jak tamci, bo zadzierali, i to jeszcze jak! Ciocia Lucy, która wyszła za wuja Henryka, była Klawesyńska z pierwszego męża i wszyscy pamiętamy, jakie miała fuchy w nosie. - Ależ, Dominiko... - znów próbował jej przerwać Strączek. - Przyznaj sam, że nie miała powodu... Sama była z domu Rynna. nie inaczej, tylko po prostu panna Rynna, i mieszkała w stajni, zanim nie poślubiła Klawesyńskiego. - Przecież wyszła za wuja Henryka.

- Tak, ale dopiero później. Gdy się pobierali, ona była wdową z dwojgiem dzieci, a on wdowcem z trojgiem. Nie patrz tak na mnie, Strączku, to brzydko! Nie zaprzeczysz, że traktowała biednego Henryka bardzo z góry. Uważała, że to było poniżej jej godności wyjść za mąż za Zegarkiewicza. - Dlaczego tak uważała? - spytała Arietta.

- Dlatego, że my, Zegarkiewicze, mieszkamy pod kuchnią. Dlatego, że nie mówimy wyszukanyim językiem i lubimy kanapki ze śledziem. ale to, że mieszkamy pod kuchnią, wcale jeszcze nie świadczy, że nie jesteśmy z dobrej rodziny. Zegarkiewicze to ród akurat tak samo stary jak Klawesyńscy. Zapamiętaj to, Arietto, i nie pozwól sobie wmówić, że jest inaczej. Twój dziadek umiał liczyć i zapisywać cyfry aż do... Aż do ilu, Strączku?

- Do pięćdziesięciu siedmiu - odpowiedział Strączek.

- No, widzisz! Aż do pięćdziesięciu siedmiu! I twój ojciec umie rachować, jak sama wiesz, Arietto. Umie liczyć i pisać cyfry, jedną po drugiej, aż do... Do ilu umiesz liczyć, Strączku? - Prawie do tysiąca - odparł Strączek.

- No, widzisz! - zawołała Dominika. - I alfabet także zna, uczył cię przecież, Arietto, prawda? I na pewno nauczyłby się czytać czyż nie jest tak, jak mówię, Strączku? - gdyby nie musiał zacząć pożyczać już od wczesnej młodości. Wój Henryk i twój ojciec, Arietto, musieli wychodzić na pożyczanie, gdy mieli nie więcej niż trzynaście lat... Byli w twoim wieku, pomyśl, Arietto!

Ale ja bym także chciała... - zaczęła Arietta, lecz matka jej przerwała: - I nie było mu tak dobrze, jak tobie! I właśnie dlatego, że Klawesyńscy mieszkali w salonie, wprowadzili się w roku 1837 do dziury w boazerii zaraz za miejscem, gdzie podobno stał klawesyn - o ile w ogóle stał tam kiedykolwiek, w co mocno wątpię - i nazywali się po prostu Maglarscy czy coś w tym rodzaju, zanim nie zmienili nazwiska na Klawesyńscy. - A czym się żywili - spytała Arietta - w tym wielkim salonie? - Resztkami z podwieczorków - odparła Dominika. - Z tego, co podawano do herbaty. Nic dziwnego, że dzieci ich były takie słabowite. W dawnych czasach, ma się rozumieć, było lepiej - bułeczki maślane, herbatniki i inne specjały, pyszne pulchne ciasto i konfitury, i galaretki, a stary Klawesyński pamiętał nawet suflet z bitym kremem, który podano raz wieczorem. Ale na ogół musieli zadowalać się okruszkami z sucharków, biedaczyska! Gdy deszcz padał, państwo siedzieli przez całe popołudnie w salonie i tam podawano im herbatę, a to, co zostało, wynoszono na tacy, tak że mowy nie było, żeby Klawesyńscy mogli się przybliżyć. A kiedy była ładna pogoda, państwo jedli podwieczorek w ogrodzie. Lucy mówiła mi, że zdarzały się całe dni, kiedy nie mieli co do ust włożyć: żyli okruskami i rosą spijaną z kielichów kwiatów. Nie trzeba więc osądzać ich za surowo; jedyną przyjemnością dla nich, biedaków, było "trzymać fason" i mówić takim językiem, jakim rozmawiają w "wyższych sferach". Czyś słyszała, jakim stylem posługuje się ciocia Lucy?

- Tak. Nie. Nie przypominam sobie.

- O, na pewno słyszałaś, jak mówiła słowo "parkiet" tak się nazywa podłoga w salonie - wymawiała je z francuska: "parke", "parrke". Och, jakie to było zabawne! Pamiętaj, że ciocia Lucy najbardziej ze wszystkich zadzierала nosa. - Arietta drży z zimna - zauważył Strączek. - Nie po to ściągaliśmy naszą

małą z łóżka, żeby opowiadać jej o ciotce Lucy! - Nie, nie po to! - zawołała Dominika z nagłą skruchą. - Powinieneś być mi przerwać, Strączku. Otul się dobrze, złotko, kołderką i napij się gorącej zupki. Zaraz ci odgrzeję. - A teraz - rzekł Strączek, gdy Dominika krzątając się przy blasze nalewała zupę do filiżanki - przystąpmy do rzeczy. - Do jakiej rzeczy? - spytała Dominika.

- Mówiliśmy o ciotce Lucy, o wuju Henryku, a czas

już... - zamilkł i po chwili dodał - porozmawiać o Eggletynie. - Pozwól jej najpierw wypić tę zupkę!

- Nikt jej tego nie broni - odparł Strączek.



## RoZDZIAŁ SZÓSTY

Mama i ja kazaliśmy ci wstać z łóżka - zaczął Strączek - bo chcieliśmy opowiedzieć ci o tym, jak jest na górze. Arietta spojrzała na niego znad filizanki, którą trzymała w obydwu dłoniach. Strączek chrząknął.

- Niedawno mówiłaś, że niebo jest ciemnobrązowe i całe porysowane. Widzisz, tak nie jest - i spojrzał na nią prawie oskarżycielsko. - Niebo jest niebieskie. - Wiem! - rzekła Arietta.

- Wiesz? - zawołał Strączek zaskoczony.

- Pewno, że wiem. Przecież jest krata.

- Widziałas niebo przez kratę?

- Opowiedz jej lepiej - przerwała mu Dominika - o bramkach. - Dobrze - rzekł Strączek ze skupieniem. - Gdy wychodzisz z kuchni, co widzisz? - Ciemny korytarz - odparła Arietta.

- I co jeszcze?

- Inne pokoje.

- A jak pójdziesz dalej?

- Jeszcze inne korytarze.

- A jak będziesz szła i szła wciąż przed siebie i przejdiesz przez te wszystkie korytarze pod podłogą, przez wszystkie te kręte pasażyki, co zobaczysz?

- Bramki - odrzekła Arietta.

- Nie bramki, lecz solidne bramy - rzekł Strączektakie, których nie potrafisz sama otworzyć. Po co one są, jak ci się zdaje? - Żeby broniły przed myszami?

- No tak - zgodził się Strączek, ale bez wielkiego przekonania. - Myszy nie robią nikomu z nas nic złego. Przed czym jeszcze? - Przed szczurami? - zgadywała Arietta.

- Nie ma tu szczurów. A co myślisz o kotach?

- O kotach? - powtórzyła Arietta, zdziwiona.

- A może te bramy są po to, żebyś ty nie mogła wyjść - podsunął jej ojciec. - Żeby ja nie mogła wyjść? - powtórzyła Arietta jak echo. - Tam na górze jest bardzo niebezpiecznie - mówił dalej Strączek. - A ty, Arietto, jesteś jedynym naszym skarbem, rozumiesz? Inna rzecz z wujkiem Henrykiem, on ma dwoje własnych i troje dzieci swej żony. Kiedyśmówił dalej Strączek - i on miał troje... troje własnych dzieci. - Ojciec ma na myśli Eggletinę - wyjaśniła Dominika.

- Tak - pokiwał głową Strączek - mam na myśli Eggletinę. Oni nie mówili jej nigdy o tym, co jest tam, na górze i nie zakładali żadnych krat. Opowiadali jej, że niebo jest zabite gwoździami i całe porysowane, i... - Jak to można takie głupstwa opowiadać dzieckumruknęła Dominika. Pociągnęła parę razy nosem i pogładziła lekko Ariettę po głowie. - Ale Egglecina nie była taka głupia, żeby w to uwierzyć. Pewnego dnia - ciągnął Strączek - postanowiła iść na górę i rozejrzeć się sama. - W jaki sposób wyszła? - zainteresowała się Arietta.

- Wtedy nie było jeszcze tych bram, tylko jedna furtka pod zegarem. Henryk zostawił ją na pewno nie zamkniętą, no i Egglecina wyszła... - W niebieskiej sukience - uzupełniła Dominika i w buczkach zapinanych na guziki, roboty twojego ojca, Arietto, z żółtej gienzowej skórki, z agatowymi paciorkami zamiast guzików. Ślicznie wyglądała w tym stroju. - Tak - rzekł Strączek - gdyby wszystko skończyło się inaczej, nie byłoby w tym nic złego. Dziewczynka wyszła sobie, rozejrzała się wokoło, może by się trochę wystraszyła i wróciłaby zaraz do domu - ani mądrzejsza, ani lepsza, ani gorsza niż przedtem...

- Ale zaszło coś takiego... - zaczęła Dominika. Nie wiedziała, nikt jej nigdy nie powiedział, że ojciec jej był widziany i że tam, na górze sprowadzono kota... i... i... Czekali tydzień - mówiła dalej Dominika - czekali miesiąc, czekali cały rok, nie tracili nadziei. Ale nikt już i nigdy więcej nie zobaczył biednej Eggletiny. - To właśnie - rzekł Strączek po dłuższej chwili milczenia, nie spuszczać oczu z Arietty - to właśnie przydarzyło się Eggletinie. Zapanowała cisza przerywana tylko głośnym oddechem Strączka i bulgotaniem zupy na ogniu.

- Po tej stracie wuj Henryk był kompletnie załamany - rzekła Dominika. - Nigdy nie chciał już iść na górę, bał się, mówił, że znajdzie żółte buciki z guziczkami. Nie pozostało mu nic innego, jak emigrować. Arietta milczała. Po chwili podniosła głowę.

- Dlaczego mówicie mi to wszystko? - zapytała. Teraz? Dziś wieczorem? Dominika wstała i znów zaczęła krzątać się przy kuchni.

- Nie mówiliśmy ci dotychczas - rzekła - czy raczej nie mówiliśmy ci wszystkiego... ale w końcu... uznaliśmy... - Odwróciła się do niej nagle. - No, dobrze, powiem ci całą prawdę: twój ojciec był dziś widziany, Arietto! - O! - zawołała Arietta. - Kto go widział?

- Ktoś... ktoś, o kim nigdy dotąd nie słyszałaś. Ale nie to jest najważniejsze. Chodzi o to, że...

- Myślisz, że i ci także sprowadzą kota?

- Mogą to zrobić.

Arietta odstawiła na chwilę filiżankę z zupą, na jej niewinnej twarzyczce odmalował się wyraz ukrytego marzenia. - A czy i my... nie moglibyśmy wyemigrować? Ośmieliła się w końcu zadać pytanie, bardzo cichutko. Dominika aż usta otworzyła ze zdziwienia, płaśnięła rękoma i oparła się o ścianę.

- Nie wiesz, co mówisz, moje dziecko! - zawołała poprawiając odruchowo patelnię wiszącą krzywo na ścianie. - Robaki, łasice, wilgoć i...

- ale przypuśćmy - nie dała się odstraszyć Arietta że to ja wyszłam, tak jak Eggletina, i że kot zjadł mnie. Gdyby tak było, to ty, mamusiu, i tatuś postanowilibyście emigrować, prawda? - zapytała, a głosik jej zadrżał. Powiedźcie. Dominika przysunęła się do Arietty. Była bardzo rozgniewana. - Zbiję cię na kwaśne jabłko, paskudna dziewczyno! Nie wiesz, co gadasz! Oczy Arietty napełniły się łzami.

- Myślałam tylko... myślałam... że dobrze byłoby... Miałabym ochotę... także emigrować... Nie zjedzona! - dodała cicho i łzy potoczyły się po jej twarzy. - No, dość tego! - zabrał głos Strączek. - Wracaj do łóżka, Arietto, nie zjedzona... i nie stłuczona na kwaśne jabłko... a o tym wszystkim porozmawiamy jutro. - Wcale nie dlatego, że się boję! - zawołała Arietta urażona. - Przeciwnie, bardzo lubię koty! Głowę daję, że wcale tak nie było, to nie kot pożarł Eggletinę! Na pewno uciekła tylko dlatego, że nie chciała siedzieć zamknięta jak w klatce... Dzień za dniem... tydzień za tygodniem... rok za rokiem... Nienawidziła tego! Tak jak i ja! . dokończyła ze szlochem. - Zamknięta jak w klatce! - powtórzyła Dominika oburzona. Arietta ukryła twarz w dłoniach.

- Bramy... - jęknęła - bramy, bramy, bramy...

Strączek i Dominika zamienili spojrzenia ponad pochyloną głową Arietty. - Nie powinniśmy byli prowadzić z tobą takiej rozmowy - rzekł Strączek - tak późno w nocy... Arietta uniosła twarzyczkę zalaną łzami.

- Późno czy wcześniej, co za różnica?! - zawołała. O, wiem, tatuś jest wspaniałym Pożyczalskim. Wiem, że tylko nam udało się zostać tutaj, kiedy wszyscy inni musieli stąd uciekać. Ale co nam z tego przyszło? Nie wydaje mi się, żeby to było takie mądre mieszkać przez całe życie w wielkim, na pół opustoszałym domu, pod podłogą, i nie mieć nikogo, z kim można by porozmawiać, nikogo, z kim można by się pobawić, i nie widzieć nic więcej, tylko te zakurzone korytarze, i nie znać żadnego innego światła prócz blasku świec i ognia z kominka, i tej odrobiny światła, które wpada przez szczeliny. Eggletina miała braci, miała przybrane rodzeństwo. Eggletina miała oswojoną myszkę. Eggletina miała żółte buciki z guziczkami z agatowych paciorków i Eggletina wyszła - a to jest najważniejsze ! - Tss! - uciszał ją Strączek. - Nie tak głośno Nad ich głowami skrzypnęła podłoga i dały się słyszeć czyjeś ciężkie kroki na górze w kuchni. Po chwili usłyszeli gderliwy głos Doroty i brzękanie pokrywkami. - Przeklęte palenisko! - dobiegło ich jej zrzęczenie. Ogień gaśnie, znów wiatr z tamtej strony. Po chwili usłyszeli, jak zawołała głośno:

- Felicjanie!

Strączek stał ze spuszczoną głową, ze wzrokiem wbitym ponuro w podłogę. Arietta, drżąc z zimna, owinięła się szczelniej szydełkową kołderką, a Dominika westchnęła przeciągle. Nagle podniosła głowę.

- Dziecko ma rację - oświadczyła z przekonaniem.

Ariecie oczy się rozszerzyły.

- Ależ nie... - zaczęła.

Zaskoczyło ją, że matka przyznaje jej rację. Rzeczą rodziców, a nie dzieci, jest mieć rację. Dzieci mogą mówić, co chcą, ale rodzice - Arietta wiedziała o tym dobrze - nie zrobią im nigdy nic złego, nawet jeśli dzieci nie mają racji. - Widzisz, Strączku - ciągnęła dalej Dominika - co innego ty, a co innego ja. Różne są rodziny i różne są dzieci... Zlewnickich ze zmywalni pamiętasz? A tych co mieszkali za maszyną do krajania chleba... zapomniałam, jak się nazywali... A chłopców Miotła Kredensowiczów przypominasz sobie? A Rynnowie mieli podziemne przejście ze stajni... Myśmy korzystali, jeśli tak można powiedzieć, z większej swobody. - No tak - zgodził się Strączek = w pewnej mierze. Ale co ci przyszło z tej swobody? - spojrzał na nią z wahaniem. - Gdzież są oni wszyscy? - Nie zdziwiłabym się wcale, gdybym się dowiedziała, że jest im lepiej teraz, niż było wtedy - rzekła Dominika przekornie. - Od tego czasu wiele zmieniło się w tym domu. Resztki i okruchy, o, to już nie to samo, co było. Wyszli, jeśli pamiętasz, wtedy, gdy wykopano rów do przewodów gazowych. Te przewody szły przez pola, poprzez lasy i jeszcze gdzieś dalej. W wykopie powstał jakby tunel i tamtędy prowadziła ich droga do Majowego Chrabąszcza Nad Potokiem.

- No i co w końcu znaleźli? - zapytał Strączek pogardliwie. - Usypisko koksu! Dominika odwróciła się do córki.

- Arietto - rzekła uroczyście - przypuśćmy, że pewnego dnia - wybralibyśmy taki dzień, kiedy na górze nie byłoby nikogo i gdyby oni nie sprowadzili kota, a ja mam pewne powody, żeby wierzyć, że kota jednak nie sprowadzą - przypuśćmy, że któregoś dnia ojciec zabrałby cię na pożyczanie, powiedz, czy byłabyś bardzo grzeczna? Czy robiłabyś dokładnie to, co ojciec by ci kazał, szybko, spokojnie, bez sprzeciwu? Arietta aż zarumieniła się z radości i klasnęła w dłonie. - Och zaczęła, zachłystawszy się z zachwyty, ale Strączek uciął krótko: - Nie, Dominiko, nie mów jej nic, dopóki nie zastanowimy się dobrze. Nie powinnaś mówić jej takich rzeczy, zanim tego nie przemyślimy gruntownie. Pamiętaj, że ja byłam widziany. To nie jest najodpowiedniejsza pora, by zabierać dziecko na górę. - Nie będzie tam kota - rzekła Dominika - i nikt nie narobi wrzasku. Nie powtórzy się to, co było za czasów Róży Toporek. - Mimo wszystko - rzekł Strączek, ale już z jakimś wahaniem - istnieje duże ryzyko. I nie słyszałem jeszcze nigdy, żeby na pożyczanie zabierano dziewczynę. - A ja na to patrzę inaczej - odparła Dominika i właśnie dopiero teraz przyszło mi to na myśl: gdybyś miał syna; wziąłbyś go na pożyczanie, prawda? A my nie mamy syna, mamy tylko naszą Ariettę. Przypuśćmy, że coś złego stanie się z tobą czy ze mną, co będzie wówczas z Ariettą, jeśli nie nauczy się pożyczać?

Strączek spuścił oczy.

- Tak - rzekł po chwili - rozumiem, co chciałaś powiedzieć. Będzie miała nowe, inne zainteresowania i może przestanie snuć swoje marzenia. - Marzenia - o czym?

- O błękitnym niebie, o trawie, o różnych takich rzeczach... Arietta już się opanowała i Dominika znów zwróciła się do niej:

- Nie, Arietto, ani myślę emigrować! Zresztą nie byłoby to takie dobre ani dla ciebie, ani dla żadnego z nas! - Aha - zawołał Strączek i zaczął się śmiać - a więc o to chodzi! - Uspokój się! - upomniała go Dominika i rzuciła przelotne spojrzenie na sufit. - Nie tak głośno! A teraz pocałuj tatusia na dobranoc, Arietto - i dodała szorstko - i marsz do łóżka! Gdy Arietta skuliła się w kłębek w łóżeczku pod kołdrą, poczuła, jak fala ciepła rozlewa się po jej ciele, od palców stóp aż po szyję. To żar szczęścia ogarniał ją całą. Słyszała głosy w przyległym pokoju, chwilami cichnące, chwilami znów głośniejsze: głos Dominiki brzmiał nieustannie, zniżając się niekiedy do poufnego szeptu. Arietta domyśliła się, że matka stara się usilnie przekonać o czymś ojca. W pewnym momencie Strączek wstał, Arietta usłyszała, jak zaskrzypiało odsuwane krzesło. - A ja nie chcę! - dobiegła ją odpowiedź ojca.

Po chwili Dominika syknęła: - Psst! - i zaraz potem Arietta usłyszała drżące kroki i znów szczerkanie rondli. Patrzyła sennie półotwartymi oczyma w malowany sufit. "FLOR DE HAVANA" - głosiły dumnie sztandary. "Garantizados... Superiores... Non plus ultra... Esquisitos..." - i piękne damy w powiewnych tiulach dęły triumfalnie w trąby, wydając bezdźwięczne tony radości i wesela...

## ROZDZIAŁ SIÓDMY

w ciągu następnych trzech tygodni Arietta była wyjątkowo grzeczna: pomogła matce uprzątnąć spiżarnię; wymiotła i wyszorowała korytarz; posegregowała i poukładała paciorki (używane zamiast guzików) w zakrętkach od fiolek po aspirynie; wykrawała ze starych giemzowych rękawiczek kwadraciki skóry, z których Strączek szył buciki; temperowała i szlifowała ości rybie, sporządzając z nich szpilki niebywalej ostrości; rozwieszała bieliznę do suszenia na kracie - aż wreszcie nadszedł ów dzień - straszliwy, cudowny, niezapomniany dzień, kiedy Dominika, szorując stół w kuchni, wyprostowała się nagle i zawołała:

- Strączku!

Przyszedł ze swego warsztatu, z kopytem szewskim w rękę.

- Spójrz na tę szczotkę! - zawołała Dominika.

Była to szczotka ze splecionych włókien.

- Aj, aj! - westchnął Strączek. - Mocno już sfatygowana.

- Ręce mi puchną w stawach - powiedziała Dominika - ile razy szoruję tą szczotką. Strączek bardzo się zatroskał. Od czasu kiedy był

widziany, musiał ograniczyć się do pożyczania tylko w kuchni na górze, by nie zabrakło podstawowych zapasów żywności i opału. Na górze w kuchni pod kominem znajdowała się od kawna mysia dziura, którą Strączek w nocy, gdy ogień w palenisku wygasł lub tlił się tylko, wykorzystywał jako szyb do zrzucania żywności, co oszczędzało mu noszenia. Po wypadku na firance Strączek przysunął komodę, zrobioną z pudełek od zapalek, do mysiej dziury, a na komodzie postawił krzeselko i przy pomocy Dominiki nauczył się przeciskać przez ten szyb aż na samą górę. Korzystając z tej drogi nie musiał ryzykować przechodzenia przez duży hall i korytarze; nie wysuwając się na środek kuchni, mógł pożyczyć spod wielkiego paleniska ząbek czosnku, marchewkę lub smakowity kąsek szynki. Ale ta metoda zdobywania żywności miała jednak swoje złe strony: nawet gdy ogień był zgaszony, koło komina leżały czasem węgielki i gorący popiół, a pewnego razu kucharka Dorota omaal nie wymiotła go wielką szczotką spod komina. Ledwo zdążył wśliznąć się z powrotem do szybu. A gdy ukazał się usmolony, cały drżący, krztusząc

się pyłem węglowym - wystraszona Dominika chwyciła go w ramiona. Kiedy indziej znów, gdy ogień płonął na palenisku pełnym blaskiem, Strączek wyskoczył nagle z tego rozpalonego piekła, cały osypany rozżarzonymi do białości węgielkami. Jednakże w nocy ogień był przeważnie zgaszony i Strączek mógł śmiało szukać żywności w kuchennym gospodarstwie. - Doroty dziś nie będzie - rzekła Dominika - ma wolny dzień. A Ona (Dominika nigdy nie nazywała ciotki Zofii inaczej, jak "Ona" przez duże "O") nie jest dla nas niebezpieczna, bo przecież nie opuszcza łóżka. - Ani jednej, ani drugiej nie boję się - rzekł Strączek. - Martwię się o coś innego. - Jak to? Ten Chłopiec jest tam wciąż jeszcze?

- Tego nie wiem - odparł Strączek. - Ale istnieje pewne ryzyko. . . - Ryzyko zawsze było i zawsze będzie - odpowiedziała Dominika. - Pamiętasz, jak byłeś w piwnicy i nadjechał wóz z węglem? - Jeśli chodzi o tamte dwie osoby, o Dorotę i o Nią, to zawsze wiem, gdzie mogą być.

- A jeśli chodzi o Chłopca - zawołała Dominika - jego naprawdę nie powinieneś się bać! Chłopca słyszeć już o milę. Zresztą - dodała po chwili - rób, jak chcesz. Ale nigdy dotychczas nie obawiałeś się ryzyka. Strączek westchnął.

- Dobrze, pójdę - rzekł i zaczął szukać swego worka do pożyczania. - Zabierz ze sobą małą! - zawołała Dominika.

Strączek odwrócił się.

- Ależ, Dominiko... - zaczął przerażony.

- Dlaczego nie chcesz? - nacierała Dominika ostro. Dzisiejszy dzień nadaje się doskonale. Idźcie nie dalej niż do frontowych drzwi. Skoro tak się denerwujesz, to zostaw ją pod zegarem, żeby mogła w każdej chwili czmychnąć przez mysią dziurę. W każdym razie niech dziewczyna coś zobaczy! Arietto! - zawołała. Arietta przybiegła pędem, ale Strączek znów próbował protestować. - Słuchaj, Dominiko... - zaczął.

Lecz Dominika nie pozwoliła mu dokończyć.

- Arietto - zwróciła się do córki - miałabyś ochotę pójść razem z ojcem i przynieść mi troszkę włókien na szczotkę, z maty, która leży pod drzwiami w hallu? Arietta aż skoczyła w górę z radości.

- O! Naprawdę... mogę iść z tatusiem?

- Ziągmij wpierw fartuszek - nakazała Dominika i zmień obuwie. Musisz włożyć leciutkie buciczki, najlepiej te z czerwonej giemzy. A gdy Arietta wybiegła, Dominika zwróciła się do Strączka: - Zobaczysz, jaka będzie grzeczna. Sam się przekonasz.

W korytarzu, idąc krok w krok za ojcem, Arietta czuła, że serduszko bije jej coraz szybciej. Teraz gdy nadeszła wreszcie ta upragniona chwila, wydawała jej się zbyt trudna, by mogła jej podołać. Była tak przejęta, że aż drżała z podniecenia. Nieśli ze sobą trzy worki (na wypadek - jak wyjaśnił Strączek - gdyby udało im się znaleźć coś nadzwyczajnego. Kiepski Pożyczalski często traci przez to, że nie zabiera z sobą jeszcze jednego dodatkowego worka na wszelki wypadek). Strączek zarzucił sobie na plecy wszystkie trzy puste worki i zabrał się do otwierania pierwszej bramki zaryglowanej agraftką. Była to kuza agraftka z odskakującą pod naciskiem małych rączek szpilą i Arietta widziała, jak ojciec zawisa na niej całym ciężarem ciała, a nogi podrygują mu w powietrzu. Zawieszony na rękach, przesuwiał się wzdłuż szpili w kierunku zakrzywionego zamknięcia, dopóki wreszcie nie odskoczyła - i bramka nie stanęła otworem. - Widzisz, nie dałabyś rady sama - rzekł do Arietty, ocierając zakurzone ręce. - Za mało ważysz. Nie otworzyłabyś tej bramki ani ty, ani twoja matka. Chodź teraz za mną. Ale cichutko... W dalszej drodze napotkali jeszcze kilka bramek. Każdą z nich Strączek pozostawiał otwartą. - Nigdy nie zamykaj za sobą bramek - pouczał szeptem córeczkę - bo może będziesz musiała zaraz wracać. Szli, szli korytarzami, aż w końcu Arietta ujrzała nagle światło. Pociągnęła ojca za rękaw. - Czy to już?.. - zapytała szeptem.

Strączek zatrzymał się.

- Teraz... jak najciszej! - ostrzegł ją. - Tak, to tu: dziura pod zegarem. Gdy Arietta usłyszała te słowa, aż dech zaparło jej ze wzruszenia, ale nie dała tego poznać po sobie. - Teraz będą trzy schodki w górę - objaśniał Strączek - dość strome, uważaj dobrze, jak będziesz szła. Gdy znajdziesz się pod zegarem, zatrzymaj się. Ani na chwilę nie spuszczać ze mnie oczu, nie zagapiaj się! Jeśli będzie można iść dalej, dam ci znak. Schodki były wąskie i dość nierówne, ale Arietta łatwiej wspinała się po nich niż ojciec, gdyż była lżejsza. Gdy znalazła się przy wyszczerbionych brzeżkach mysiej dziury, oślepił ją nagle błysk jakby roztopionego złota: to promień wiosennego słońca padał na flizy kamiennej posadzki w hallu. Kiedy Arietta wyprostowała się, blask znikł z jej oczu: stwierdziła, że znajduje się w mrocznym, wielkim pudle, a nad głową zobaczyła mglisty zarys wiszących wag. Ta ciemna pustka wokół niej cała wibrowała jakimiś dźwiękami. Wybijał się jeden silniejszy ton, donośny i regularny. Wyżej dostrzegła połyskujące w półmroku wahadło, poruszające się rytmicznie i jakby ostrzegawczo. Arietta poczuła ciepłość w oczach, a pierwszej rozsadzała duma: a więc to jest... nareszcie!... ten słynny zegar! Zegar... od którego cała jej rodzina przybrała nazwisko! Dwieście lat stoi na tym samym miejscu, cierpliwie mruczając głębkim basem - stoi na straży ich progu i odmierza ich czas. Strączek przycupnął pod rzeźbioną w drzewie arkadą, widocznie po to, żeby nie raziło go światło. "Nie spuszczać ze mnie oczu" - tak nakazał córce, Arietta więc także przykucnęła. Ujrzała przed sobą kamienną posadzkę hallu, całą w złocistych blaskach, ciągnącą się gdzieś daleko; ujrzała brzegi dywanów, niby różnobarwne wysepki na morzu, i wreszcie ujrzała zalane słońcem, jak gdyby wymarzone wrota do krainy baśni otwarte drzwi frontowe. Za nimi widać było zieloną trawę, a dalej, na tle jasnego, błękitnego nieba, falujące liście. Strączek rozejrzał się uważnie dookoła. - Czekaj - szepnął ledwo dosłyszalnie - i uważaj dobrze.

Po chwili dał susa i zniknął. Arietta widziała, jak śmignął po zalanej słońcem podłodze. Przemknął tak szybko jak mysz lub jak gnany wiatrem zwiędły liść. Wydawał jej się z tej odległości bardzo malutki. "Jak to się dzieje? Tatus jest przecież o pół głowy wyższy od mamy..." - zdziwiła się. Widziała, jak okrążył matę pod drzwiami, leżącą niby brązowa wysepka na kamiennych płytach podłogi, a potem znikł jej z oczu. Widocznie znalazł się w cieniu padającym od drzwi frontowych. Arietta czekała. Głęboką ciszę przerwało nagle chrobotanie we wnętrzu zegara. Najpierw były to jakieś zgrzyty wysoko w ciemnej pustce nad jej głową, później jakby dźwięk przesuwającego się śliskiego metalu, aż wreszcie zegar

wydzwonił swą zwykłą melodię. Trzy tony zabrzmiały dobitnie, dźwięcznie, z powagą. "Albo - albozdawały się głosić czas się zdecydować..." W pobliżu drzwi przemknął cień i obok maty znów ukazał się Strączek z workami na plecach. Odwrócił głowę w kierunku zegara i dał Ariecie znak ręką. Pobiegła, nie zwlekając ani chwili.

O, jak rozkosznie ciepło na tych kamiennych flizach, gdy słońce prześlizguje się po twarzy i rękach... Jaka tu przestrzeń dokoła! Jakie to wszystko cudowne i przerażające zarazem ! - No, no uspokój się - powiedział Strączek łagodnie. - Odetchnij... Grzeczna z ciebie dziewczynka. Gdy zatrzymała się zdyszana, poklepał ją po ramieniu. Jeszcze trochę zasapana, Arietta rozejrzała się wokoło. Zobaczyła w pobliżu nogi zalanego słońcem fotela; siedzenie rozpięte było nad nią niby baldachim. Dostrzegła gwoździki i dziwne pętle ze sznurów i jedwabiu, przytroczone do sprężyn. Zobaczyła rzeźbione nogi stołu i otwór pod blatem, zobaczyła schody biegnące coraz wyżej i wyżej w górę. A przez cały czas, gdy tak oglądała to wszystko, zegar tykał - odmierzając sekundy, tak jakby rozkrawał ciszę na warstwy. Arietta odwróciła się i teraz popatrzyła na ogród. Ujrzała żwirowaną ścieżkę, usłaną kolorowymi kamykami. Wzdłuż ścieżki stały drzewa - orzechy włoskie, a pomiędzy nimi jaśniała w słońcu trawa. Nad ścieżką wznosił się stromo, podstrzępiasty żywopłot, porosły darnią nasyp, a za żywopłotem widać było drzewa owocowe, całe w bieli kwiecia. - Masz tu worek - rzekł Strączek ochrypłym szeptem. - Weź się od razu do roboty. Arietta posłusznie zabrała się do wyrywania włókien z maty; były sztywne i zakurzone. Strączek pracował szybko i metodycznie: wiązał włókna w małe snopki i wrzucał natychmiast jeden po drugim do worka. - Gdybyś musiała nagle uciekać - wyjaśnił - nie wolno ci zostawić nic po sobie, żadnych śladów. - Kaleczysz sobie ręce, tatusiu - stwierdziła Arietta. - Nie boli? I nagle kichnęła. - Nie, nie boli - odparł Strączek. - Moje ręce stwardniały jak... Nie dokończył, gdyż Arietta znów kichnęła.

- Straszny kurz, prawda? - zapytała.

Strączek wyprostował się.

- Nie szarp tak, widzisz, że włókno jest zasupłanepouczył Ariettę. - Nic dziwnego, że wrzyna się w ręce. Zostaw już! - zawołał po chwili. - Nie musisz tego robić! Siądź lepiej na schodku i uważaj na drzwi, czy ktoś nie idzie. - Ależ, tatusiu... - próbowała oponować Arietta.

(Myślała: "Jeżeli dziś nie pomogę tatusiowi, to następnym razem nie będzie chciał mnie zabrać"). Lecz Strączek wyjaśnił: - Lepiej już ja sam... Powybieram takie kawałki, jakie będą mi potrzebne - To przecież ja będę sporządzał nową szczotkę.

## ROZDZIAŁ ÓSMY

Schodek był ciepły, ale pochyły. "Gdybym spadła na ścieżkę - pomyślała Arietta - nie umiałabym pewno wdrapać się z powrotem". Siedziała więc dłuższy czas spokojnie. Nagle zauważyła obok drzwi pionową blaszkę w kształcie strzemienia, do zeskrobywania błota z bucików. - Arietto! - zawołał Strączek. - Gdzieś ty się podziała?

- Ześliznęłam się po tym strzemiączku i jestem na ziemi - odparła Arietta. Strączek zbliżył się, popatrzył na nią z wyżyn schodka. - Dobrze - rzekł po chwili. - Ale nie wdrapuj się nigdy, moje dziecko, na przedmiot, który nie jest porządnie przymocowany. Wyobraź sobie, że ktoś nagle przyjdzie i poruszy to strzemie - co wtedy zrobisz? Nie zdążyłabyś zeskoczyć. . . - Przecież ono jest ciężkie - broniła się Arietta - nikt go nie ruszy. - Możliwe - zgodził się Strączek - ale pamiętaj, że strzemiączko jest ruchome. Rozumiesz, co chcę przez to powiedzieć? To, że istnieją pewne zasady, moje dziecko, i że musisz nauczyć się Ich przestrzegać. - Ta ścieżka biegnie dookoła domu - stwierdziła Arietta. - I ten nasyp także. - Zgoda - rzekł Strączek.

- O tam w rogu Jest moja krata! - zawołała. Myślałam że musi być na samym końcu domu. - Choć no tutaj - zawołał Strączek. - Od jakiego czasu jest to twoja krata? - No - odparła Arietta. Nazywam ją tak już dawno. Co by było, gdybym tak obeszła ten rug dookoła i zawołała mamę przez kratę?! - Nie zrobisz tego. Nie - odrzekł Strączek.

- Ale mama zobaczyłaby - nalegała Arietta - że ja jestem grzeczna. Zgodził się Strączek i uśmiechnął się - No, dobrze - zawołaj mamę. Będę nawet patrzył na ciebie z daleka. - Pobiegnij szybko i zawołaj - nie za głośno! Arietta nie dała sobie tego dwa razy powtarzać. Na ścieżce były mocno osadzone kamyki. Jej lekkie, szybkie nóżki ledwo ich dotykały. Jak to przyjemnie tak biec przed siebie. na bieganie nie było miejsca pod podłogą. Tam można było tylko chodzić, schylać się i czołgać na czworakach. Arietta ona! nie minęła kraty. Zobaczyła ją dopiero wtedy gdy skręcała. Znajdowała się za rogiem. Mieściła się tuż nad ziemią w starym murze. Szeroką plamą zielenił się pod nią mech. Dziewczynka przysunęła się aż do samego otworu. - Mamo - zawołała przytykając nos do żelaznej kraty - mam! Czekala chwilę, po czym zawołała jeszcze raz. Dopiero za trzecim razem Dominika przybliżyła się do kraty. Włosy miała rozpuszczone, a w obydwóch rękach trzymała nakrętkę od słoika po marynaty, napełnioną wodą z mydłem. - O! - zawołała oburzona. - Nie powinnaś była płać mi takiego figła! Co to za kawały? Gdzie tatuś? Arietta wskazała ruchem głowy. - Jest tam - przy drzwiach frontowych. Była tak pełna szczęścia, że stopy jej - ale tego już Dominika widzieć nie mogła - zaczęły same tańczyć po zielonym mchu. Nareszcie jest po drugiej stronie kraty, nareszcie jest na wolności i może zaglądać do swego domu z ogrodu! - Oni zawsze tak robią - rzekła Dominika. W pierwszy dzień wiosenny otwierają drzwi frontowe na oścież. Wracaj do tatusia, Arietto, i powiedz mu, że jeśli drzwi od pokoju śniadaniowego są otwarte, to nie miałabym nic przeciwko temu, żeby przyniósł mi kawałek czerwonej bibuły. A teraz usuń się z drogi, bo chcę wylać wodę z miednicy! "A więc dlatego rośnie tu mech - pomyślała Arietta spiesząc z powrotem do ojca - że wylewamy wodę przez kratę... Strączek był zadowolony, że tak szybko wróciła, ale gdy Arietta powtórzyła mu zlecenie Dominiki, skrzywił się. - Jak ona sobie to wyobraża? Jak mam wleźć na biurko, skoro nie mam szpilki do podpierania się? Po bibułę trzeba wspinać się po krześle i po firance... i ona wie o tym dobrze! No, ale trudno! Chodźmy! Pójdziemy na górę razem! - Pozwól mi zostać tutaj - prosiła Arietta. - Jeszcze troszkę... Aż wrócisz. Wszyscy wyszli, tylko Ona jest w domu. Tak mama mówiła. - Mama mówi różne rzeczy - mruknął Strączek kiedy chce, żeby coś było zrobione, i to prędko. Skąd może wiedzieć, czy Jej nie przyjdzie na myśl wyjść z łóżka i zejść na dół, opierając się na lasce? Skąd może wiedzieć, czy Dorota nie została w domu - może akurat dziś miała ból głowy? Skąd może wiedzieć, czy Chłopiec już wyjechał? - Jaki Chłopiec? - zainteresowała się Arietta.

Strączek stropił się nieco.

- Jaki Chłopiec? - powtórzył niezdecydowanie i po chwili wyjaśnił niepewnie: - Pewno Felicjan... - Felicjan to nie chłopiec - pokręciła głową Arietta.

- Prawda - zgodził się Strączek i jakby rozmyślając na głos, dodał: - No tak, Felicjana trudno nazwać chłopcem. Wiesz, to taki Chłopiec... prawdziwy. Słuchaj - rzekł odchodząc - zostań tu jeszcze trochę, skoro masz taką ochotę. Ale nie oddalaj się nigdzie!

Arietta odprowadziła ojca wzrokiem, a gdy zszedł ze schodka, rozejrzała się wokoło. Och, co za radość! Jak wspaniale! Jak swobodnie! Jak ślicznie: blask słońca trawa, łagodny wietrzyk i ten pokryty murawą nasyp, skręcający za rogiem, i drzewo wiśniowe całe kwitnące! Tam na ścieżce różowi się jakaś plama - to opadłe płatki kwiecia jabłoni, a pod drzewem cały klomb kremowych prymulek.

Arietta zerknęła ostrożnie na drzwi frontowe i lekkim, tanecznym krokiem w swych miękkich czerwonych buciczkach pobiegła w kierunku różowych płatków jabłoni. Leżały zwinięte jak muszelki i pod dotknięciem jej ręki kulily się jeszcze bardziej. Zaczęła je zbierać i układać jeden płatek na drugim... coraz wyżej i wyżej... tak jak buduje się domek z klocków. A po chwili dmuchnęła - i wszystkie rozsypały się. Strączek, nim odszedł, zatrzymał się jeszcze na schodku i objął spojrzeniem ścieżkę, na której stała Arietta. - Nie oddalaj się nigdzie! - upomniął dziewczynkę raz jeszcze. Arietta uśmiechnęła się do ojca: nie słyszała, co mówił, widziała tylko z daleka ruch jego warg. Zielonkawy chrząszcz, połyskujący w słońcu, przybliżał się do niej między kamieniami. Arietta położyła leciutko paluszek na jego pancerzu i chrząszcz zatrzymał się, jakby na coś czekał, a gdy odjęła rękę, ruszył dalej w drogę. Po chwili ukazała się mrówka; krzątała się szybko zygzakami, jakby czekało ją jeszcze mnóstwo roboty. Arietta zagroziła jej drogę, żeby podrażnić się z nią trochę. Mrówka, czując się widocznie w sytuacji bez wyjścia, wysunęła swe czułki; po chwili, rozdrażniona, umknęła w bok. Dwa ptaki świergocące zajadle, zupełnie jakby się kłóciły, sfrunęły na murawę pod drzewem. Jeden z nich odleciał po chwili i Arietta ujrzała go między falującą trawą na pochyłości nasypu. Wdrapała się ostrożnie na nasyp i dała nura między zielone liście i łodygi. Gdy rozgarniała je łagodnie gołymi rękoma, krople rosy spadały na jej spódniczkę, a czerwone buciczki wilgotniały. Dziewczynka szła śmiało przed siebie, przedzierając się przez mocno zakorzenioną murawę i coraz bardziej zagłębiała się w tę dżunglę mchu, fiołków leśnych i przywarłych do ziemi listków koniczyny. Sięgające jej do pasa żdźbła trawy, które wydawały się z daleka ostre i spiczaste, gdy ich dotykała, okazywały się miękkie i delikatne i falowały przechylając się w tył, gdy już przeszła. Kiedy znalazła się wreszcie pod drzewem, ptak wystraszył się i odleciał. Arietta zaś usiadła na zwiniętym listku prymulki. W powietrzu snuł się zapach kwiatów. "Ale nikt nie chce bawić się ze mną" - pomyślała rozżalona. Ujrzała na porysowanym, pomarszczonym listku prymulki kropelki rosy lśniące niby kryształowe paciorki. Gdy nacisnęła listek, stoczyły się jak marmurowe kulki do gry. Na nasypie było ciepło, aż za ciepło pod osłoną wysokich traw, a ziemia wydawała suchą woń. Arietta wstała i zerwała kwiatek prymulki. Delikatna, różowawa łodyżka, cała pokryta srebrnymi włoskami, jak gdyby ożyła w jej rękach, a gdy uniosła kwiatek w górę, trzymając go niby parasolkę, ujrzała przesączające się przez żyłkowane płatki blade światło słońca. Na kawałku kory znalazła stonogę i delikatnie zrzuciła ją końcem łodyżki. Stonoga zwinęła się w kłębek i potoczyła po zboczku wzgórzka między korzenie traw. Arietta знаła stonogi. Było ich pełno w jej domu pod podłogą. Dominika łąła córkę, ilekroć przyłapała ją na tym, że bawiła się z nimi. Mówiła, że mają zapach starych noży. Arietta ułożyła się pomiędzy łodygami prymulek, ale ponieważ słońce już tak nie przypiekało, zrobiło jej się chłodno. Odwróciła głowę i rozejrzała się na wszystkie strony. Naraz aż zaparło jej oddech: między żdźbłami traw coś się poruszyło, na nasypie coś jakby błysnęło. Arietta szeroko otworzyła oczy.



## ROZDZIAŁ DZIEWIĄTY

To było oko. Czy też może wyglądało tylko jak oko. Jasne, błękitne, koloru nieba. Oko, takie samojak Arietty, tylko że ogromne. Duża firanka zagiętych rzęs wznosiła się w górę i opadała w dół. Arietta ostrożnie poruszyła nogami: chciała prześliznąć się bezszelestnie między łądzkami traw i zbiec szybko z nasypu. - Nie ruszaj się! - usłyszała głos, głos tak samo ogromny jak oko i huczący niby wichur w burzliwą noc marcową, gdy dmie zza kraty. Arietta zamarła.

"A więc to jest to przeleciało jej przez myśl - to najgorsze, najstraszliwsze, co może się zdarzyć: jestem widziana! To, co spotkało Egglestinę, teraz na pewno spotka i mnie !" Przez chwilę trwała cisza i Arietta słyszała, jak mocno wali jej serce. - Nie ruszaj się - powtórzył głos, ale już szeptem - bo stłukę cię moim jesionowym kijem. Nagle Arietta uspokoiła się.

- Dlaczego? - zapytała.

Jak dziwnie zabrzmiał jej własny głosik! Zadzwoił cieniutko i czysto, trochę drząc w powietrzu. - Jeżeli... - usłyszała głośny szept jeżeli pobeigniesz szybko przez trawę, to... - głos zatrzymał się na chwilę - wpadniesz na mnie i dotkniesz mnie tymi swoimi obrzydliwymi, małymi rączkami. Arietta spojrzała na oko. Nie zmieniała pozycji i zachowywała się bardzo spokojnie. - Dlaczego? - zapytała znowu i znowu głosik jej zadzwonił w powietrzu, ale tym razem pytanie zabrzmiało spokojnie, a nawet trochę wyzywająco. - Bo te stworzenia tak robią - usłyszała w odpowiedzi. - Widziałem je w Indiach. Ariecie przypomniał się jej "Słownik geograficzny".

- Ale teraz nie jesteś w Indiach - odparła rezolutnie.

- Czy ty wyszła z tego domu?

- Tak - odrzekła Arietta.

- Z którego miejsca mniej więcej?

Arietta znów spojrzała na błękitne oko.

- Ani myślę ci powiedzieć - oświadczyła odważnie.

- A ja cię zbiję moją jesionową laską!

- Dobrze - rzekła Arietta - zbij mnie!

- Podniosę cię i złamię w pół!

Arietta wstała.

- Dobrze - rzekła i postąpiła dwa kroki naprzód.

Usłyszała głośny oddech i trawa zadrżała jak od trzęsienia ziemi. Odskokzył od niej i usiadł; teraz piętrzyła się nad nią wielka góra w zielonym swetrze. Miał jasne włosy zaczesane do góry i złociste rzęsy.

- Nie ruszaj się! - krzyknął. - Stój!

Arietta przyglądała mu się. A więc to jest ten Chłopiec! Błdy ze strachu, brak mu tchu... czuła to. Po chwili powiedziała: - Myślę, że ty masz jakieś dziewięć lat.

Zarumienił się.

- Mylisz się, mam już dziesięć - spojrzał w dół na nią, ciężko dysząc. - A ile ty masz lat? - Czternaście - rzekła Arietta. - Skończę w czerwcu - dodała. Zapanało milczenie. Arietta czekała, co będzie dalej, trochę drząc. - Umiesz czytać? - zapytał Chłopiec w końcu.

- Oczywiście. A ty?

- Nie - wyjąkał. - To jest... umiem. Widzisz, wróciłem niedawno z Indii. - Co to ma do rzeczy? - spytała Arietta.

- Kto urodził się w Indiach, rozumiesz, ten włada dwoma językami. A kto włada dwoma językami, temu trudno nauczyć się czytać. Płynnie czytać, oczywiście. Arietta zadarła głowę. "Co za potwór! - pomyślała. Zaslania mi niebo!" - Jak myślisz: wyrośniesz z tego? - zapytała.

Poruszył się trochę i Arietta poczuła chłód od jego cienia: - O, tak - odparł - na pewno. Moje siostry także mówiły dwoma językami, ale teraz już pozapominały. I umieją czytać. Mogą czytać, jaką chcą książkę z pokoju szkolnego na górze. - Ja także umiem czytać - odrzekła Arietta szybko - jeżeli ktoś trzyma przede mną książkę i przewraca kartki. Nie znam wprawdzie dwóch języków, ale czytać mogę z każdej książki. - Głośno także?

- Oczywiście - odparła Arietta.

- Możesz poczekać, aż przyniosę ci jakąś książkę? Pobiegnę tylko na górę. - Dobrze - zgodziła się Arietta. Miała wielką ochotę popisać się swoimi umiejętnościami. Ale wtem coś jej się przypomniało. - Ale zaczęła i urwała.

- O co ci chodzi?

Chłopiec wstał. Górował nad nią, był teraz wielki jak wieża. - Ile drzwi jest w tym domu?

Zerknęła na niego, mrużąc oczy w blasku słońca. Chłopiec przykląkł na jedno kolano. - Drzwi? - powtórzył. - Drzwi na dwór?

- Tak.

- Zaraz, przypomnę sobie... Drzwi frontowe, drzwi boczne, drzwi od kuchni, drzwi od zmywalni... i drzwi balkonowe w salonie. - Widzisz - zaczęła Arietta po krótkim namyśle - Mój ojciec jest w hallu. Zaraz obok drzwi frontowych. Pracuje i... i... nie chciałby, żeby mu przeszkadzano. - Pracuje? - zapytał Chłopiec zdziwiony. - Nad czym?

- Zbiera materiał - odparła Arietta - na szczotkę do szorowania. - W takim razie pójde bocznymi drzwiami.

Wstał, ale po chwili nachylił się nad nią jakby jakaś myśl trapiła go szczególnie; i zapytał: - Czy ty umiesz fruwać?

- Nie - odparła Arietta zdziwiona. - A ty?

Zaczerwienił się jeszcze bardziej.

- Ja nie umiem - rzekł gniewnie - ale ja nie jestem zaczarowany duszek! - Ani ja - odrzekła Arietta. - Ani nikt z nas. I nie wierzę w żadne duszki. Spojrzał na nią zaskoczony.

- Nie wierzysz w żadne duszki?

- Nie - odparła Arietta. - A ty?

- Oczywiście, że nie!

„Co to za złoźnik!” - pomyślała Arietta. A na głos powiedziała, chcąc, by się uspokoił: - Wiesz, moja matka wierzy w duszki. Wydawało się jej, że raz nawet widziała jednego... Była wtedy jeszcze małą dziewczynką i mieszkała razem ze swoimi rodzicami za kupką piasku w szopie u garncarza. Chłopiec przykucnął i Arietta znów poczuła jego oddech na twarzy. - Jak wyglądał? - spytał zaciekawiony.

- Był nie większy niż robaczek świętojański i miał skrzydełka jak motylek. I małą, wąziutką twarzyczkę, całą świecącą - tak mówiła moja mama - i migotałjak iskierka, i miał malutkie, ruchliwe rączki.

Twarzyczka mieniła mu się co chwila, uśmiechał się i takie blaski po niej przelatowały... tak mama opowiadała. Podobno nawet coś mówił, ale mama nie mogła zrozumieć... - Naprawdę? - głos Chłopca zdradzał zainteresowanie.

Po krótkiej chwili zapytał:

- I co się z nim stało?

- Gdzieś zniknął - odparła Arietta. - Mama myślała, że zaplątał się w pajęczynę. Ale nie widziała dobrze, bo już się ściemniało. Zbliżała się piąta, a było to zimą. Zaraz po podwieczorku. - Naprawdę? - powtórzył Chłopiec.

Pochylił się, podniósł z ziemi dwa płatki kwiatu wiśniowego, złożył je tak, jak się składa kanapkę, i gryzł powoli. - Wyobraź sobie - rzekł patrząc gdzieś w dal, jakby na ścianę domu - wyobraź sobie, żeś zobaczyła małego człowieczka wielkości ołówka, z niebieską łatą na spodniach, stojącego na fałdzie firanki i trzymającego filiżankę z serwisu dla lalek - czy nie powiedziałabyś, że to zaczarowany duszek? -

Nie - rzekła Arietta. - Powiedziałabym, że to mój ojciec. - O! - zawołał Chłopiec, zaskoczony. - Czy twój ojciec zawsze ma niebieską łatę na spodniach? - Nie - odparła Arietta. - Tylko na spodniach do pożyczania. Ubranie odświętne ma całe. - O! - zawołał Chłopiec znów. Zdawał się chwilę namyślać nad następnym pytaniem. - Czy dużo jest takich osób jak ty?

- Nie - odpowiedziała Arietta. - Każdy z nas jest inny.

- Ale takich malutkich jak ty?

Arietta roześmiała się.

- Och, nie bądź głupi! - zawołała. - I ty nie myślisz chyba, że dużo jest na świecie osób tak wielkich, jak ty? - Więcej jest takich, jak ja, niż takich, jak ty - odparł. - Naprawdę? - spytała Arietta trochę bezradnie, ale roześmiała się po chwili. - Naprawdę myślisz... Cóż to mógłby być za świat? Te wielkie krzesła...

widziałam je na własne oczy! Zastanawiam się, czy wy musicie robić te krzesła tak wielkie dla każdego z was? A ile materiału trzeba na waszą odzież... całe mile... dziesiątki mil... i jak to uszyć! A te wielkie domy, tak wysokie, że ledwo można zobaczyć sufit... i te olbrzymie łóżka... i to jedzenie... Całe dymiące góry jecizenia, całe ogromne sadzawki zupy... i pieczeni... tego wszystkiego... - Czy i ty także jadasz zupę? - zapytał Chłopiec.

- Oczywiście - roześmiała się Arietta. - Opowiem ci coś o wuju mojego tatusia. Ten wuj miał małą łódkę i jeździł nią po garnku, w którym gotowała się zupa. Wyławiał z niej to i owo, a najbardziej lubił szpik z kości. Aż któregoś dnia kucharka się spostrzegła, że coś tu jest nie w porządku, gdyż znalazła w zupie zakrzywione szpilki. Pewnego razu omal nie utonął, gdy wpadł na kawał kości, która się nagle wynurzyła. Zgubił wiosła i łódka zaczęła przeciekać, na szczęście miał przy sobie linkę, przerzucił ją przez ucho garnka i wdrapał się na jego krawędź. Ale ileż tej zupy było - całe morze! I jaki ogromny był ten garnek! Nie wiem, czy starczy pożywienia na całym świecie dla takich olbrzymów! Mój tatuś mówi, że to dobrze, że oni umierają... Ale niedobrze byłoby, żeby poumierali wszyscy... Nie mielibyśmy z czego żyć i wszystko, tatuś mówi, skończyłoby się dla nas... - Arietta zawahała się chwilę, starając się przypomnieć sobie właściwe słowo - skończyłoby się dla nas fatalnie, tak tatuś powiedział... - Co to znaczy - spytał Chłopiec - że nie mielibyście z czego żyć?

## ROZDZIAŁ DZIESIĄTY

wówczas Arietta opowiedziała mu o pożyczaniu: jakie to trudne i jakie niebezpieczne. Opowiedziała mu o spiżarni pod podłogą, o wyczynach dzielnego Strączka, o tym, jaki jest odważny i jaki doświadczony. Opowiedziała mu o tych odległych czasach, nim jeszcze przyszła na świat, kiedy to Strączek i Dominika byli bardzo bogaci. Opowiedziała mu o grającej filigranowej tabakierce, całej ze złota, i o małym ptaszku zrobionym z piórek zimorodka, który z niej wyskakiwał, i o tym, jak trzepotał skrzydełkami i wyśpiewywał swoją melodię. Opowiedziała mu o szafce dla lalek i malutkich zielonych szklaneczkach, i o ślicznym srebrnym czajniczku zabranym z salonu, i o aksamitnych kapach na łóżka, i o haftowanych poszewkach. - ... Mamy je jeszcze - mówiła dalej - to są Jej chusteczki. "Ona", "Jej" ... - Chłopiec zaczął się domyślać stopniowo, że mowa jest o ciotce Zofii. Teraz usłyszał, w jaki sposób Strączek pożycza z Jej sypialni na pierwszym piętrze: w blasku ognia z kominka wędruje pomiędzy bibelotami na Jej toalecie i pozwala sobie nawet wdrapywać się na kotarę obok Jej łóżka, a czasem i spacerować po Jej kółdrze. I o tym, że ciotka zauważyła go parę razy i nawet z nim rozmawiała. Codziennie o szóstej przynoszą dla Niej karafkę madery i koło północy Ona wypija parę kieliszków. Nikt nie ma Jej tego za złe, nawet Dominika, bo przecież Ona, biedaczka, jak mówi Dominika, tak mało ma przyjemności, niech sobie pije na zdrowie. Po tych trzech kieliszkach ciotka Zofia wierzy we wszystko, cokolwiek zobaczy. - I myśli, że mój tatuś wychodzi z karafki - mówiła dalej Arietta. - A gdy będę starsza, tatuś zabierze mnie z sobą na górę i Ona będzie myślała, że ja także wychodzę z karafki. To Jej się spodoba, tak uważa mój tatuś, bo do niego już się przyzwyczaiła. Pewnego razu zabrał na górę mamę i od tego czasu Ona pyta stale, dlaczego moja mama nie przychodzi już nigdy więcej, i twierdzi, że gospodyni dolewa wody do madery, bo przecież raz widziała małego człowieczka i małą kobietkę, a teraz widzi tylko małego człowieczka. . .

- Chciałbym, żeby myślała, że i ja wychodzę z karafki - rzekł Chłopiec. - Uczy mnie czytać i każe mi pisać dyktanda. Widuję ją tylko rano, a rano ona jest zawsze w złym humorze. Posyła po mnie i ogląda moje uszy, czy są czyste, i pyta Dorotę, czy odrobiłem lekcje. - A jak wygląda ta... Dorota? - zapytała Arietta.

(Jak to przyjemnie móc powiedzieć po prostu "Dorota"... Jak to brzmi śmiało i swobodnie!) - Jest gruba i ma czarny wąsik nad wargą. Przygotowuje mi co wieczór kąpiel i sprawdza, czy nie nabiłem sobie guza i czy nie zadrapałem się w łokieć, i mówi, że sprawi mi któregoś dnia tęgie lanie. Chłopiec wyrwał z ziemi kępkę trawy i spojrzał na nią nachmurzony. Arietta zauważyła, że jego dolna warga ciężko gniewnie. - Moja matka mieszka w Indiach - rzekł. - Powiedz mi, dlaczego utraciliście te wszystkie wasze bogactwa. - Otóż - zaczęła opowiadać Arietta - kocioł w kuchni pękł, gorąca woda przeciekła przez podłogę i zalała nasze mieszkanie i wszystko, co tam stało, i już sięgała zakratowanego okienka. Najpierw gorąca, potem zimna. Mój tatuś pracował dzień i noc, próbował ratować nasze rzeczy. A to było w marcu i strasznie wiało przez kratę, i tatuś przeziębził się, zachorował i nie mógł wychodzić na pożyczanie, więc wuj Henryk musiał go zastępować. I wszystkie nasze rzeczy były po tej powodzi uszkodzone, a najbardziej ten ptak, zimorodek. Piórka mu powypadały i wielka skrzydła sprężyna wyskoczyła z jego boku. przez całą wiosnę tatuś pracował, żeby wszystko naprawić, a głównie drzwi, żeby się zamykały i żeby nie było przeciągów, bo z kraty wciąż wiało - a piórka zimorodka mama wetknęła w swój pilśniowy kapelusik. I w tym czasie ja właśnie przyszłam na świat, a tatuś wyzdrowiał i znów zaczął wychodzić na pożyczanie. Ale tatuś jest zmęczony i nie lubi wdrapywać się na firanki, szczególnie jeśli nie mają frędzelków... - Pomogłem mu trochę - rzekł Chłopiec - gdy zobaczyłem go z tą filiżanką. Drżał cały. Przypuszczam, że się wystraszył. - Mój ojciec miałby się wystraszyć? - zawołała Arietta gniewnie. - Bać się... ciebie? - dodała wyniośle. - Może nie lubi wdrapywać się tak wysoko - wyraził przypuszczenie Chłopiec. - Bardzo lubi - odpowiedziała Arietta. - Tylko nie lubi firanek. Mówiłam ci już. Firanki go męczą. Chłopiec żuł w zamyśleniu żdźbło trawy.

- "Pożyczanie" - rzekł po chwili. - Tak wy to nazywacie?

- A jak można nazwać to inaczej? - spytała Arietta.

- Ja bym to nazwał... kradzieżą.

Arietta roześmiała się. Śmiała się całkiem szczerze.

- Ale my jesteśmy Pożyczalscy - wyjaśnił tak samo; jak wy jesteście Ludźmi czy jak to się tam u was nazywa. Należymy do tego domu. Równie dobrze mógłbyś powiedzieć, że komin kradnie węgiel z kosza do węgla. - W takim razie... co to jest kradzież?

Arietta przybrała poważną minkę.

- Przypuśćmy, że wuj Henryk pożyczył z Jej toalety zegarek wysadzany szmaragdami, a mój ojciec zabrał go wujowi i powiesił u nas na ścianie. To byłaby kradzież. - Zegarek wysadzany szmaragdami! - zawołał Chłopiec.

- Dlatego to mówię, że mamy taki zegarek, wisi na ścianie w naszym pokoju, ale ten tatuś pożyczył sam. To wcale nie musi być zegarek. To może być cokolwiek. Nawet kostka cukru. Ale Pożyczalscy nie okradają nikogo. - Oprócz ludzi - rzekł Chłopiec.

Arietta znów wybuchnęła śmiechem. Śmiała się tak bardzo, że musiała ukryć twarzyczkę w płatkach prymulki. Śmiała się doleż. - Och! Nie mogę! - z trudem łapała oddech. - Jakiś ty zabawny! Podniosła głowę i spojrzała na niego. Był wyraźnie stropiony. - Przecież dla Pożyczalskich Ludzie są tym, czym masło dla chleba! Chłopiec milczał długą chwilę. Powiew wiatru zaszeleścił wśród drzewa wiśniowego, kwiecie przebiegł jakby dreszcz. - A ja w to nie wierzę - rzekł Chłopiec, nie odrywając oczu od spadających płatków. - Nie wierzę, że my żyjemy dla was, i nie wierzę, że umieramy wszyscy. - Ojej! - zawołała Arietta zniecierpliwiona. - Spróbuj pomyśleć rozsądnie: jesteś pierwszym prawdziwym Człowiekiem, jakiego widzę, chociaż wiem, że istnieje jeszcze troje Ludzi: Ona, Felicjan i Dorota. Znam natomiast całe mnóstwo Pożyczalskich. Znam Gzysowiczów, Klawesynskich i Rynnów, i Maglarskich, i Bucikiewiczów, i Studdingtonów... Chłopiec spojrzał na nią z zaciekawieniem.

Studdingtonów? Ale przecież John Studdington to był mój stryjeczny dziadek. - Zgadza się, ta rodzina Pożyczalskich mieszkała właśnie za jego portretem - mówiła dalej Arietta - i stąd to nazwisko. Znam jeszcze wielu innych: Rurapieców, Dzwonkowiczów... - Słuchaj - przerwał jej Chłopiec - ale czyś ty ich naprawdę widziała? - Widziałam Klawesynskich. A moja mama jest z domu Dzwonkowiczówna. Tamci, jeszcze zanim się urodziłam. . . Chłopiec przysunął się bliżej.

- Co się z nimi stało? Gdzie są teraz? Powiedz mi!

- Wuj Henryk ma swój domek na wsi - odparła Arietta chłodno, odsuwając się od nachylonej nad nią wielkiej twarzy, usianej włoskami najbłedszego złota - i pięcioro dzieci: Klawesynskich i Zegarkiewiczów. - A gdzie reszta? Gdzie są tamci?

- Och - rzekła Arietta niedbale gdzieś muszą być.

"Gdzie są, rzeczywiście?" - zastanowiła się. I mimo woli zadrżała, a może tylko zrobiło jej się po prostu chłodno od cienia, który postać Chłopca rzuciła ukośnie na trawę. Wyprostował się znów, jego jasna głowa przesłoniła na chwilę spory szmat nieba. - No, dobrze - rzekł w zamyśleniu po chwili i oczy jego zrobiły się nagle zimne. - Ja widziałem tylko dwoje Pożyczalskich, ale widziałem za to setki, setki, setki, setki, setki... - Czego? - zapytała Arietta szeptem.

- Ludzi - ludzkich istot.

I Chłopiec usiadł znów na trawie. Arietta stała w milczeniu. Starła się nie patrzeć na niego. Dopiero po chwili rzekła: - A ja ci nie wierzę.

- A jeśli opowiem ci...

- I tak nie będę ci wierzyła - oświadczyła Arietta z przekonaniem. - Nie przerywaj mi, tylko słuchaj! - rzekł Chłopiec rozkazująco. I zaczął jej opowiadać: opowiadał o meczach piłki nożnej i o wyścigach konnych, i o koncertach, i o stacjach kolei żelaznej. Opowiadał jej o Indiach, i o Chinach, i o Stanach Zjednoczonych, i o krajach należących do Wielkiej Brytanii. - Na świecie są nie setki - mówił - lecz tysiące, miliony, miliardy dużych, wielkich, ogromnych Ludzi. No, a teraz już wierzysz?

Arietta wpatrywała się w niego szeroko otwartymi oczyma. Zadzieriała głowę tak wysoko, że aż poczuła ból w karku.

- Nie wiem - wyszeptała zdruzgotana.

- A jeśli chodzi o was - mówił dalej Chłopiec, przysuwając się do niej bliżej - to ja nie wierzę, że gdzieś na świecie istnieją jeszcze jacyś inni Pożyczalscy. Przypuszczam, że wy troje jesteście ostatni. Arietta zanurzyła twarzyczkę w płatkach prymulki.

- To nieprawda. Jest jeszcze ciotka Lucy i wujek

Henryk, i wszyscy nasi kuzynowie...

- Gotów jestem założyć się - rzekł Chłopiec - że oni wszyscy już nie żyją. Powiem ci coś jeszcze - dodał po chwili. - Nikt nie uwierzy, że ja widziałem ciebie.

I ty będziesz z pewnością ostatnia z twego rodu, dlatego że jesteś najmłodsza. Pewnego dnia - i mówiąc to uśmiechnął się triumfująco - okaże się, że jesteś jedną, jedyną Pożyczalską na całym świecie! Zamilkł i czekał przez chwilę, co mu odpowie. Lecz

Arietta unikała jego wzroku i stała z opuszczoną głową.

- No, widzisz - zauważył po chwili - teraz płaczesz.

- Oni żyją! - powiedziała Arietta stłumionym głosem.

Sięgnęła po chusteczkę, otarła łzy i mówiła dalej:

- Mieszkają w jamie borsuka, o dwa pola stąd, zaraz za zaroślami. Nie chodzimy do nich, bo to za daleko.

A poza tym są różne zwierzęta... krowy, lisy, łasice...

i wrony. . .

- Za jakimi zaroślami? - dopytywał się Chłopiec.

- Tego nie wiem! - prawie krzyknęła Arietta. Trzeba iść wzdłuż rur gazowych - to pole nazywa się tak jakoś... Nad Potokiem.

Wytarła energicznie nos i oświadczyła:

- Idę już do domu.

- Nie odchodź - poprosił Chłopiec - jeszcze nie!

- Pójdę już - uparła się Arietta.

Chłopiec zaczerwienił się i rzekł błagalnie:

- Pozwól mi tylko skoczyć do domu po książkę.

- Ani myślę teraz czytać ci na głos - oznajmiła Arietta wyniośle. - Dlaczego?

Spojrzała na niego ze złością.

- Bo mi się nie chce.

- Posłuchaj - rzekł Chłopiec - ja pójdę na to pole.

Pójdę i odszukam twego wuja Henryka. I twoich kuzynów.

I tę ciotkę, nie pamiętam, jak się nazywa. I opowiem

ci wszystko o nich, jeśli znajdę ich żywych. Co ty na to? Możesz napisać do nich list, a ja wrzucę go do tej

ich

jamy...

- Naprawdę chcesz to zrobić? - ożywiła się Arietta.

- Tak, zrobię to. Naprawdę. No, a teraz mogę iść po

książkę? Pójdę bocznymi drzwiami.

- Dobrze - zgodziła się Arietta.

Myśl jej zajęta była czymś innym, a oczy błyszczały.

- Kiedy mogę ci dać ten list? - zapytała.

- Kiedy chcesz - odparł, stając nad nią. - Gdzie wy

właściwie mieszkacie?

- Tam zaczęła Arietta i urwała.

Dlaczego znów poczuła jakiś dziwny chłód? Czy to dlatego, że padł na nią jego cień przesłaniający słońce?... - Położę ten list gdziekolwiek - rzekła śpiesznie. Najlepiej pod matą w hallu. - Pod którą? Przy drzwiach frontowych?

- Tak, tam właśnie.

Chłopiec odszedł. Arietta stała sama, po ramiona zanurzona w trawie, oblana blaskiem słonecznym. To, co się jej przydarzyło, przerastało jej zdolności myślenia, nie mogła uwierzyć, że to wszystko działo się

naprawdę: nie tylko była widziana, ale jeszcze rozmawiała; nie tylko rozmawiała, ale i... - Arietto! -

usłyszała wołanie. Obejrzała się zdziwiona i zobaczyła ojca. Strączek stał na ścieżce i patrzył na nią. -

Chodź prędzej! - zawołał.

Arietta spojrzała na niego tak, jakby widziała go po raz pierwszy w życiu. Jaką okragłą ma twarz, niby księżycjaką miłą, jaką bliską! - Chodźże! - zawołał, przynaglając córkę.

Arietta posłusznie zbiegła z nasypu, trzymając prymulkę jak parasol nad głową. - Rzuć to - rzekł ojciec surowo, gdy stanęła wreszcie

obok niego na ścieżce. - Nie powinnaś zrywać takich

dużych kwiatów, musisz przecież nosić worek. I co ty z tym będziesz robiła? - gderał, gdy wracali. -

Oddaliłaś się jednak, znikłaś mi z oczu. Żeby mi to było po raz ostatni ! I pośpiesz się teraz. Mama już czeka na pewno z podwieczorkiem.

## ROZdzIAŁ JeDeNaSTY

Dominika czekała na nich przy ostatniej bramie. Miała świeżo umyte włosy i pachniała mydłem dziegciowym. Wyglądała młodziej niż zwykle i była bardzo podniecona.

- Jesteś! - powtarzała. - Jesteście nareszcie!

Odebrała worek z rąk Arietty i pomogła Strączkowi zamknąć bramę.

- No, powiedz, jak tam było? - wypytywała córeczkę. - Przyjemnie? Byłaś grzeczna? Drzewo wiśniowe kwitnie? A zegar bije?

Usiłowała odczytać w półmroku, jaki wyraz twarzy ma Arietta.

- Chodźcie już. Herbata na stole. Daj mi rączkę...

Herbata była już rzeczywiście przygotowana, wszystko stało na okrągłym stole w bawialni, a ogień płonął wesoło na kominku z zębatego koła. Jakież bliski wydawał jej się teraz ten ich pokój, jaki swojski! Ale i zarazem jakoś dziwny: blask ognia z kominka tańczył na tapecie jedną linijkę można było odczytać szczególnie wyraźnie. "...byłby uroczo, gdyby..." Gdyby co? Arietta już nieraz się nad tym zastanawiała. Gdyby w jej domu nie było tak ciemno, byłoby także uroczo. Spojrzała na zrobione domowym sposobem świeczki, osadzone na nóżkach odwróconych pinezek niby w lichtarzach. Dominika postawiła te świeczniki na stole między zastawą. Stary imbryk, zrobiony z wydrążonego żołędzia, z dziobkiem ze słomki i z rączką z drutu, był już teraz przepalony i stwardniały na skutek długoletniego używania. Na talerzykach leżały po dwa cienkie, płaskie plasterki pieczonego kasztana, które jadło się posmarowane masłem jak grzanki, a w koszyku - gotowany kasztan, który Strączek jadał najchętniej zamiast chleba. Na stole stała również salaterka pełna rodzynków, podgrzanych na ogniu i dobrze spulchnionych, i półmisek okruszyn z ciasta, ze złocistą, chrupiącą skórką, pachnących cynamonem i lekko posypanych miałkim cukrem. I co jeszcze? O, co za radość! Na każdym talerzyku znajdował się ulubiony przysmak Arietty: krewetki. Dominika wyjęła dziś nawet srebrne talerze: florena dla Strączka, a dla Arietty i dla siebiedwie półkorony. - Chodź, Arietto! - zawołała Dominika, podnosząc imbryk. - Umyłaś ręce? Nie marudź! Arietta przyturlała szpulkę od nici i usiadła na niej niby na taborecie.

Przyglądała się, jak matka wciska do środka dziobek imbryka: był to widok zawsze bardzo interesujący: Cieńszy koniec słomki tkwi wewnątrz imbryka, a pod lekkim naciskiem wchodzi jeszcze głębiej, co zapobiega przeciekaniu w momencie nalewania herbaty. Jeśli trochę pary - co zdarzało się czasem - ukazywało się w miejscu złączenia, oznaczało to tylko, że słomka wykrzywiła się nieco.

- No i co? - zapytała Dominika, nalewając herbatę do filiżanek. - Opowiedz nam, coś widziała!

- Nie widziała zbyt wiele - odpowiedział Strączek zamiast Arietty i ukręcał sobie cienki plasterek kasztana, którym zagryzał krewetkę. - A gzyms od kominka widziała?

- Nie - odparł Strączek. - Nie wchodziliśmy do pokoju śniadaniowego. - A co z moją bibułą?

- Nie poszedłem po nią i nie pójde nigdy! - oświadczył Strączek stanowczo. - No, ładna historia!.. - zaczęła Dominika.

- Być może - przerwał jej Strączek, zając się apetytem - ale miałem przecucie. Złe przecucie. - Co to znaczy "przecucie"? - zapytała Arietta.



- To taki dreszcz, który przebiega po plecach, od głowy aż do palców u nóg - wyjaśniła Dominika. - Ojciec czuje dreszcz wtedy - zniżyła głos - gdy ktoś jest w pobliżu. - O! - zawołała Arietta i aż skuliła się cała. - Dlatego przyprowadziłem małą zaraz do domurzek! Strączek. - I rzeczywiście... był ktoś w pobliżu? - zapytała Dominika bojaźliwie. Strączek miał pełne usta, nie mógł więc odpowiedzieć od razu. - Na pewno był - odparł dopiero po chwili - tylko że ja go nie widziałem.

Dominika przechyliła się przez stół do Arietty. - A ty... nie miałaś żadnego przeczucia? Arietta podniosła głowę zdziwiona.

- Czy koniecznie każdy z nas musi mieć jakieś dreszcze? - zapytała. - Nie każdy doznaje dreszczy w tym samym miejscu - odpowiedziała Dominika. - Na przykład u mnie zaczyna się od kostek i idzie w górę, aż do kolan. Moja matka zaś czuła ucisk pod brodą, a potem na szyi. - Jakby nakładano jej jarzmo na kark - uzupełnił Strączek, chrupiąc krewetkę. - Nie żartuj, Strączku - zaprotestowała Dominika. Cała moja rodzina, wszyscy Dzwonkowicze odczuwali to samo. Matka mówiła, że było to tak jakby ją dusił ciasny kołnierzyk... - Szkoda, że nie udusił - wtrącił Strączek.

- Uspokój się, Strączku! Co prawda, moja matka miała swoje słabe strony... - Słabe strony! - powtórzył Strączek ironicznie. Składała się z samych słabych stron! Arietta zwilżyła językiem wargi i nerwowo powiodła wzrokiem po twarzach rodziców. - A ja nie czułam nic - oświadczyła.

- Może to był tylko fałszywy alarm - rzekła Dominika.

- O, nie! - zaprotestowała Arietta żywo, ale zaraz ugryzła się w język.

A gdy Dominika spojrzała na nią ostro, dodała szybko:

- Może tatuś ma jakieś przeczucia. Aleja... aleja... nie mam żadnych... ani przeczuć, ani dreszczy. - To nic - rzekła Dominika - jesteś jeszcze młoda.

Przyjdzie i na ciebie czas. Idź i stań w naszej kuchni pod samym szybem, i posłuchaj, jak pani Dorota rozgarnia ogień na ruszcie. Stań na stołku albo na krześle, wyprostowana, tak żebyś sięgała prawie sufitu. Zobaczysz, że poczujesz dreszcz - sama tego doświadczysz. Po herbacie, gdy Strączek siadł nad swoim kopytem

szewskim, a Dominika zabrała się do zmywania, Arietta pobięła do swego dziennika.

Otworzę go - pomyślała - na byle jakiej stronie". Dziennik otworzył się na stronach z datą 9 i 10 lipca.

Arietta odczytała pouczającą sentencję: "Rozmawiaj o wojnie, ale na wojnę nie ruszaj". A pod tym: "Poświęcenie sztandarów w katedrze w Glasgow" - to wszystko odnosiło się do 9 lipca 1885 roku. Zaś na kartce z datą 10 lipca była sentencja: "Zbieraj siano, póki słońce świeci". Arietta wydarła tę ostatnią kartkę. Odwróciła ją na drugą stronę i przeczytała: "I 1 lipca - C.D. Graham przepłynął w beczie Niagarę, r. 1886". Nie - pomyślała. - Wezmę raczej tę kartkę z sianem".

Wykreśliła swój własny zapis sprzed tygodnia: "Mama ma zły humor", i napisała pod nim:

Drogi wuju Henryku !

Mam nadzieję, że jesteście wszyscy zdrowi i że macie się dobrze, i Ty, i Ciocia Lucy, i kuzynowie. U nas wszystko w porządku i ja uczę się już pożyczania.

Twoja kochająca siostrzenica

Arietta

Odpisz, proszę Cię, na odwrocie tego listu

- Co ty robisz, Arietto? - usłyszała głos matki z kuchni.

- Piszę w dzienniku.

- O! - zdziwiła się Dominika.

- Czy chciałaś coś ode mnie? - zapytała Arietta.

- Zrobisz to później - odrzekła matka.

Arietta złożyła starannie list, wetknęła go ostrożnie pomiędzy stronicę "Słownika geograficznego" i zapisała w swoim dzienniku: "Byłam pierwszy raz na pożyczaniu. Napisałam do H. Rozmawiałam z Ch." Potem usiadła przy kominku i siedziała jeszcze długo, wpatrzona w ogień, i myślała, myślała, myślała...

## ROZDZIAŁ DWUNASTY

ale co innego tylko napisać list, a zupełnie co innego znaleźć sposób, jak podsunąć ten list pod matę. Strączek od kilku dni był czegoś taki wystraszony, że nie można go było namówić, by wyszedł na pożyczanie. Zabrał się natomiast do corocznych porządków w spiżarni: naprawiał przegródki, zakładał nowe półki, kontrolował zapasy.

Arietta zazwyczaj lubiła te wiosenne porządki, gdyż przy sortowaniu posiadanych rzeczy wychodziły na światło dzienne różne na pół zapomniane skarby albo też można było znaleźć nowe zastosowanie dla przedmiotów dawno pożyczonych.

Najbardziej lubiła przerzucać skrawki jedwabiu lub starych koronek, a także pojedyncze rękawiczki, ogryzki ołówków, zardzewiałe żyłki, szpilki do włosów i igły suszone figi, orzechy laskowe, zakurzone kawałki czekolady i czerwone laseczki laku. Pewnego razu po takim generalnym sprzątaniu Strączek

zrobił jej ze szczoteczki do zębów szczotkę do włosów, a Dominika uszyła z dwóch obciętych palców od rękawiczek tureckie szarawary, żeby dziewczyna miała w czym "łazić po domu".

Wśród różnych gratów i gracików znajdowało się całe mnóstwo szpilek kolorowego jedwabiu i bawełny, małe pstre kłębuszki włóczki i stalówki od piór, których Dominika używała zamiast śmietniczek przy zmiataniu podłogi, i bardzo dużo korków od flaszeczek. Ale w tym roku Arietta nie miała cierpliwości do przebierania wśród tych skarbów; gdy tylko mogła, wykradała się z pokoju, stała przy kracie i wyczekiwała w nadziei, że zobaczy Chłopca. List nosiła stale przy sobie, zatknęty za sweter, aż wreszcie brzeżki papieru się pościerały. Pewnego dnia Chłopiec przeszedł obok kraty, ale Arietta ujrzała tylko jego wełniane pończochy. Wydawał jakiś dziwny, chrapliwy dźwięk, jak maszyna, a gdy skręcił z drogi, gwizdnął przeciągle:

"Oooooo!" (naśladował gwizd parowozu, jak wyjaśnił jej później). więc nie mógł słyszeć jej wołania.

Pewnego wieczoru, gdy było już ciemno, Arietta wymknęła się na korytarz i usiłowała otworzyć bramkę, ale choć mocowała się napierała ze wszystkich sił, agrałka nie chciała puścić. Dominika, ilekroć zamiatała pokój, użalała się nad przybrudzonym dywanem.

- Chodzisz po firankach i po krzesłach - mówiła do Strączka - i przyniesienie kawałka bibuły z pokoju śniadaniowego nie zajęłoby ci więcej niż kwadrans... Kto by wszedł tu i spojrzał na tę podłogę, pomyślałby, że mieszkamy w jamie ropuchy. Nikt by nie powiedział, że mogę być dumna z mego mieszkania - mówiła dalej - ale niech by kto inny spróbował znaleźć się na moim miejscu, mając taką rodzinę jak ja... A ja lubię porządne rzeczy utrzymywać w porządku.

W końcu, czwartego dnia - Strączek uległ. Odłożył swój młotek (mały młoteczek od dzwonka elektrycznego) i rzekł do Arietty:

- Chodźmy.

Arietta ucieszyła się, że zobaczy wreszcie ów pokój śniadaniowy o którym tyle słyszała. Na szczęście drzwi były otwarte na oścież. Cóż to za rozkoszne uczucie móc stanąć wreszcie na puszystym dywanie i patrzeć na firanki, półeczki i piętrzące się ornamenty na tym słynnym gzymsie nad kominkiem! "A więc to tutaj mieszkały - myślała Arietta - te żywe, wesole, samowystarczalne istotki, lubiące przyjemne życie!"

Próbowała wyobrazić sobie małe damy z rodu Gzymsowiczów, tak jak je, nieco zgryźliwie, opisywała Dominika: cieniutkie w talii niby osy, z wysoko upiętymi włosami jak było to wówczas w modzie - wdrapując się beztrudno na kolunienki, zwinne i roześmiane. Przeglądały się zalotnie w lusterkach srebrnych w pokrywkach pudełek np papierosów, w których odbijały się kryształowe karafki, półki z książkami i stół nakryty pluszową serwetą. Wyobrażała sobie również Gzymsowiczów mężczyzn pięknych, bo tacy podobno byli, z długimi włosami, o smukłych dłoniach - namiętnych palaczy, opojów, kawalerzy. A więc to oni nie zapraszali nigdy Dominiki do siebie!

Biedna Dominika, z tym swoim kościstym nosem i zawsze tłustymi włosami!... Patrzyli pewnie na nią trochę z ukosa podłużnymi, wesołymi oczyma, uśmiechali się pod wąsem i mrucząc coś do siebie, odwracali się od niej. Żywili się tylko tym, co pozostało ze śniadania - okruskami grzanek, resztkami jajek i cieniutkimi skrawkami grzybków. Wędlinę mieli pewno także i boczek z chrupiącą skórą i wypijali po łyku herbaty lub kawy.

„I gdzie oni są teraz? - zastanawiała się Arietta. Gdzie mogli się podziać ci wszyscy moi przodkowie?”

Strącek rzucił swoją szpilkę tak żeby utkwiła w siedzeniu krzesła, a sam wspiął się na górę po wstążeczce jak po linie. Gdy znalazł się na krześle, wyciągnął szpilkę i z rozmachem cisnął ją niby oszczep w fałdę firanki. „Teraz nadeszła odpowiednia chwila” - pomyślała

Arietta i sprawdziła, czy ma wciąż jeszcze pod swetrem ten swój bezcenny list. Po chwili wymknęła się do hallu.

Dziś było tu ciemniej niż wtedy, gdyż drzwi frontowe były zamknięte. Arietta biegła szybko, a serduszko waliło jej mocno. Mata okazała się bardzo ciężka i Arietta z dużym wysiłkiem uniosła jeden róg, wsunęła list, po czym popchnęła go głębiej nóżką. Rozejrzała się wokoło... nic, tylko cienie i cienie, i głośnie tykanie zegara. Ogarnęła wzrokiem ogromną przestrzeń hallu i zobaczyła w oddali schody prowadzące w górę.

„Inny świat tam na piętrze - pomyślała. - Jeden świat nad drugim...”

I przeszył ją dziwny dreszcz.

- Arietto! - zawołał ojciec z głębi pokoju śniadaniowego. Dziewczynka przybiegła szybko i ujrzała Strączka

w momencie, gdy wspinał się po firance, żeby dać z rozmachu susa wprost na biurko. Zeskoczył lekko w dół, z rozstawionymi stopami, a wokół przegubu ręki miał uwiązaną - dla bezpieczeństwa - wstążeczkę z małą tabliczką, na której wypisane było jego imię.

- Chciałem, żebyś zobaczyła, jak ja to robię, trochę zdyszany. Czysta, różowa bibułka, którą strącił nogą, zawirowała w powietrzu i zatrzymała się w niewielkiej odległości od biurka, na wyblakłym, puszystym dywanie.

- Zaczynaj zwijać, ale ciasno - rzucił szeptem ja dokończę. Arietta uklękła i zaczęła rolować bibułę, aż urósł

zwój tak sztywny, że nie miała siły utrzymać go w swych małych rączkach. Strącek pomógł jej ściągnąć mocniej rulon, przewiązał go tasiemką i przebił swą szpilką do kapelusza, po czym oboje ponieśli ten długi walec - tak jak dwaj malarze pokojowi noszą drabinę - poprzez hall aż do dziury pod zegarem. Zrzucili swój ciężar w korytarzyku pod drzwiami bawialni. Dominika ledwo im podziękowała. Była czymś bardzo przejęta i ciężko dyszała.

- O, jesteście nareszcie! - zawołała. - Jak to dobrze! Ten Chłopiec kręci, się gdzieś w pobliżu i słyszałam, jak Dorota mówiła do Felicjana...

- Och! - jęknęła Arietta.

- Co ona mówi? - spytała Dominika i rzuciła zaniepokojone spojrzenie na córkę.

Zauważyła, że dziewczynka dziwnie pobladła. Arietta

zorientowała się, że powinna była zapytać: "Co za Chłopiec?", ale teraz było już za późno. - Właściwie nie stało się jeszcze nic złego mówiła dalej Dominika, jak gdyby chciała sobie samej dodać otuchy. - To ten Chłopiec z pierwszego piętra... Nic takiego... ale słyszałam, jak Dorota mówiła, że złośli mu skórę, jeśli jeszcze raz zobaczy

że on podnosi matę w hallu.

Podnosi matę w hallu! - powtórzyła Arietta niby echo.

- Już trzy dni z rzędu, mówiła Dorota do Felicjana, zagląda pod matę - i czego tam szuka? Wzbija tylko kurz, a Dorota zaraz poznaje, że mata

leży nie na swoim miejscu. Tak się zaniepokoiła mówiła dalej Dominika - bo przecież mata leży w tej właśnie części hallu, w której byliście oboje

z tatusem... Co się z tobą dzieje, moje dziecko? zwróciła się do Arietty. - Jak ty wyglądasz? Błada jesteś jak... Chodź, Arietko, pomożesz mi przesunąć meble, zaraz położymy dywan na podłogę.

"Ojej, ojej, co to będzie? - myślała przygnębiona

Arietta, pomagając matce opróżniać szuflady komody,

zrobionej z pudełek od zapalek. - Trzy dni z rzędu

zaglądał pod matę... i nic! Teraz już stracił z pewnością nadzieję... i nie zajrzy nigdy więcej!"

Tego wieczoru Arietta długo stała na krześle pod

szybem wiodącym do kuchni na górze i twierdziła, że

chce wypróbować na sobie, czy poczuje dreszcz słysząc, jak Dorota rozmawia z Felicjanem. Ze strzępków rozmowy prowadzonej w kuchni na górze dowiedziała się, że Dorocie nogi popuchły od tego stania, że

już dłużej wytrzymać nie może, że żałuje,

iż nie podziękowała za służbę w maju, i że jeśli

Felicjan ma ochotę, to może śmiało wypić drugie

tyle, bo przecież w piwnicy jest jeszcze tak dużo

wina, że Pani nie wypije chyba aż do końca życia,

i że jeśli oni sobie wyobrażają, że Dorota będzie

myła okna na pierwszym piętrze bez żadnej pomocy,

to grubo się mylą.

Ale w momencie gdy Arietta już miała zamiar

zeskoczyć z krzesła, znudzona tą nieciekawą paplaniną

i zmęczona stanem, gdyż trudno jej było zachować

równowagę, usłyszała głos Felicjana:

- Gdyby mnie kto pytał, tobym powiedział, że ten mały ma bzika. Szukał na polu łasiczki...

- Łasiczki?! - wykrzyknęła Dorota. - A to co nowego? Gdzież on ją będzie trzymał?

- Tego nie wiem - rozległ się znów dudniący jak

spod ziemi głos Felicjana. - Wiem tylko tyle, że

łaził po polu tam Nad Potokiem i schylał się, a jak

znalazł jakąś dziurę króliczą, to przyklękał i jakoś nawoływał. . .

- Coś podobnego! - zawołała Dorota i słysząc

było, że plasnęła rękoma. - No, przysuń swój kieliszek, Felicjanie! - Tylko kropelkę - zgodził się Felicjan.

- Dość,

dość, wystarczy. Za słodkie to wino, nie takie jak

piwo, niedobre na wątrobę. Jak mnie zobaczył - ciągnął dalej - ze strzelbą na ramieniu, to zaczął udawać, że ścipa witkę z wikliny. Ale ja poszedłem za nim, tak żeby mnie nie widział, i patrzę uważnie, a on znów przyklęka, nosem przylega do jakiejś nory i coś tam woła. Mówię ci, chłopak chciał zwabić łasiczkę.

Na chwilę zapanowała cisza, przerywana tylko tykaniem zegara, poczym dał się słyszeć stuk, jakby Felicjan postawił kieliszek na stole.

- Przywoływcii... tak jakoś dziwnie - mówił dalej. - Słyszałem wyraźnie: "Wujku... wujaszku. i jeszcze jakoś tam...

Arietta poruszyła się gwałtownie, straciła równowagę i spadła z krzesła, z rękoma wyciągniętymi przed siebie. Krzesło przewróciło się z łoskotem. potoczyło w bok i uderzyło w komodę.

- Co to jest - zapytał Felicjan.

W kuchni na górze trwało dłuższą chwilę milczenie.

Arietta wstrzymała oddech.

- Nic nie słyszałam - powiedziała Dorota.

- Coś stuknęło pod podłogą - rzekł Felicjan. Tu gdzieś przy samej kuchni. - E, to nic - uspokoiła go Dorota.

- Pewnie

węgielek wypadł. Często się tak zdarza. Nieraz się człowiek przestraszy, jak tak siedzi sam w kuchni...

No, daj swój kieliszek, już tylko parę kropel zostało, wykończymy tę butelkę... "Pewno maderę piją" - domyśliła się Arietta.

Ostrożnie podniosła krzesło, ustawiła je cichutko i stanęła na nim nasłuchując z zadartą głową. Poprzez szczelinę w suficie widziała światło, a od czasu do czasu przemykał cień: widocznie któraś z osób na górze wyciągnęła rękę lub poruszyła głowę. - No i w końcu - ciągnął dalej swe opowiadanie Felicjan - gdy podszedłem do niego, ze strzelbą na ramieniu, on pyta z taką niewinną miną, żeby mnie zmylić, żebym się niczemu nie dziwił: "Czy nie ma tu gdzieś w pobliżu nory borsuka" - Spryciarz! - orzekła Dorota. - Nora borsuka... Cha, cha, cha! i wybuchnęła piskliwym śmiechem.

- Udaje spryciarza - rzekł Felicjan - tylko że mnie tak łatwo nie oszuka. Pokazałem mu taką jedną norę, ale nie zainteresował się ani trochę. Stał tylko i czekał, żebym sobie poszedł. - Felicjan zaśmiał się. - Chcesz się ze mną bawić, bratku? Dobrze! Mnie nie przechytrzysz. Usiadłem i ja. I tak czekaliśmy obaj, kto kogo przetrzyma. - I jak się skończyło?

- Ano, musieliśmy w końcu wstać. Mówił o borsuku, a czekał na łasiczkę, ale się nie pokazała.

Postukałem w ziemię, popukałem, zacząłem gwizdać, i nic. Szkoda, że nic: słyszałem dobrze, jak on ją wabił przedtem: "Wujku... wujaszku" - i jakoś tam jeszcze... Nagle Arietta usłyszała skrzypnięcie odsuwanej krzesła.

- No, na mnie czas - powiedział Felicjan., Pójdę sprawdzić, cały kurnik aby dobrze zamknięty. Drzwi zatrzasnęły się za nim i w chwilę później

Arietta usłyszała, jak Dorota rozzgarnia pogrzebaczem ogień na ruszcie. Odstawiła krzesło na swoje miejsce i cichutko wróciła do bawialni, gdzie zastała matkę samą.

## ROZDZIAŁ TRZYNASTY

Dominika układała i prasowała bieliznę, raz po raz odgarniając kosmyk spadający na oczy. Wszędzie dookoła suszyła się bielizna rozwieszona na agrafkach, których Dominika używała zamiast wieszaków. - Co się stało? - zapytała Dominika. - Spadłaś z krzesła? - Tak - odparła Arietta i cichutko usiadła na swym zwykłym miejscu przed kominkiem. - No i co, miałaś dreszcz?

Nie wiem sama - odrzekła Arietta.

Skuliła się w fotelu tak, że dotknęła podbródkiem zwartych kolan. - Gdzie twoja robótka - spytała, Dominika - Nie rozumiem co się z tobą dzieje ostatnio. Prużnujesz i prużnujesz wciąż. Nie jesteś chyba chora, co? - Och, daj mi spokój! - zawołała Arietta.

Dominika umilkła od razu.

"To pewno dlatego, że wiosna - pomyślała. I mnie też tak rozbierało na wiosnę, kiedy byłam w jej wieku". Arietta, wpatrzona niewidzącymi oczyma w ogień, rozmyślała gorączkowo "Muszę zobaczyć Chłopca... Muszę dowiedzieć się, co się z nimi stało... Czy żyją, czy są zdrowi... Nie chcę, żeby nasz ród wymarł! Nie chcę być ostatnią z Pożyczalskich! Nie chcę - i Arietta spuściła głowę jeszcze niżej - przebywać do końca życia tutaj... w ciemnościach... pod podłogą... - Poczekamy z kolacją na ojca - przerwała jej rozmyślenia Dominika. Ojciec wyszedł... na pożyczanie. Do Jej pokoju. Wiesz chyba, co to znaczy! Arietta podniosła głowę.

- Nie - odrzekła, choć nie słyszała dobrze, co matka mówi. - Nie wiem, co to znaczy. - To znaczy, że nie wróci wcześniej niż za godzinę, półtorej - odpowiedziała Dominika. - zawsze traci tam tyle czasu, kręci się po Jej toalecie, a czasem nawet rozmawia z Nią... Nie boję się o tatusia, bo teraz, gdy Chłopiec śpi w swoim łóżku, na pewno jest bezpieczny. Nie potrzebujemy nawet niczego specjalnie - mówiła dalej - tylko że akurat teraz tatuś zrobił nowe półki w spiżarni i takie są nagie i puste, że miałby ochotę choćby czymkolwiek je przyozdobić... Arietta wyprostowała się nagle. Wpadł jej do głowy pewien pomysł - i myśl ta była tak niezwykła, że aż dech jej zapało i kolana zadygotały. "Ojciec wyszedł... na godzinę, półtorej - tak mama powiedziała - a bramy na pewno zostawił otwarte!" - Dokąd idziesz, Arietto? - spytała Dominika, widząc, że dziewczynka skierowała się w stronę drzwi. - Tylko do spiżarni - odparła Arietta, osłaniając dłonią ogarek świecy przek przeciągiem. - Nie na długo. Żebyś mi czego tam nie pobrudziła! - przestrzegła

ją Dominika. - I ostrożnie z ogniem!

Idąc korytarzykiem Arietta myślała

"Powiedziałam prawdę. Idę do spiżarni - może znajdę gdzie w kącie jeszcze jakąś inną szpilkę do kapelusza.

A jeśli znajdę szpilkę i kawałek sznurka (takiej drugiej z wstążeczką, jak ma tatuś, na pewno nie będzie), to nie pozostanę tam długo, bo i tak przecież muszę się spieszyć, żeby wrócić wcześniej niż ojciec. Robię to wszystko przecież tylko dla ich dobra - usprawiedliwiała się w myśli. - Kiedyś jeszcze podziękują mi za to..." Gryzły ją jednak trochę wyrzuty sumienia. Czuli, że

robi dobrze - i źle zarazem. „Spryciara” - powiedziałyby o niej Dorota. W spiżarni znalazła upragnioną szpilkę do kapelusza,

zakończoną gałeczką, przywiązała do niej kawałek sznurka, bardzo mocno, i okręciła nim szpilkę tak, że powstała pętla tworząca ósemkę. Dla ukoronowania swego pomysłu sznurek przypiętowała jeszcze lakiem. Bramy były otwarte i Arietta zostawiła świeczkę na środku korytarza, gdzie nic jej się stać nie mogło, tuż koło dziury pod zegarem.

Wielki hall, do którego wśliznęła się w końcu, tonął cały w mroku. Mały, przyćmiony płomyk gazowy rzucał światło na zamknięte drzwi frontowe, drugi zaś migotał na podeście schodów. Sufit ginął gdzieś wysoko w ciemności, a wszystko dookoła było takie wielkie i przestronne... Arietta wiedziała, że pokój dziecinny znajduje się na pierwszym piętrze, na samym końcu korytarza. Chłopiec jest teraz w łóżku - mama też tak mówiła.

Arietta pamiętała, w jaki sposób ojciec posługiwał się szpilką do kapelusza, wdrapując się na krzesło, i schody wydały się jej o wiele łatwiejsze. Przy pokonywaniu schodów trzeba było trzymać się pewnego rytmu cisnąć szpilkę, podskoczyć, wspiać się po sznurku i znów cisnąć szpilkę na następny stopień. Pręty przytrzymujące chodnik błyszczały zimnym blaskiem, ale sam chodnik wydawał się miękki i ciepły i Arietta nie bała się wcale, że się przewróci i zrobi sobie coś złego. Na półpiętrze zatrzymała się na chwilę, aby odpocząć i zaczerpnąć tchu. Panujący tu półmrok nie przerażał jej wcale mieszkała przecież stale w ciemnościach, czuła się więc tu jak w domu, całkiem bezpieczna. Na górnym podeście schodów zobaczyła otwarte drzwi i wielki kwadrat złocistego światła, leżący niby bariera w poprzek korytarza.

"Muszę przejść przez to - powiedziała sobie, starając się nabrać odwagi. - Z tego oświetlonego pokoju dobiegają jakieś głosy..." - "...i ta klacz - usłyszała donośny głos - miała pięć lat, i należała właściwie do mego brata w Irlandii, nie do mego starszego brata, tylko do młodszego, tego, co to miał dwa konie "Szacha" i "Skarba". Konie te brały udział w kilku wyścigach z przeszkodami. Widziałeś kiedy irlandzkie wyścigi z przeszkodami?

- Nie = zabrzmiał drugi głos, raczej roztargniony. "To głos mojego tatusia - stwierdziła Arietta ze zdumieniem. - Mój tatuś rozmawia z panią Zofią?! Czy też raczej pani Zofia rozmawia z moim tatusiem..." Arietta ścisnęła mocno w piastce szpilkę owiązaną sznurkiem, przebiegła przez oświetlony kwadrat i zatrzymała się na chwilę w korytarzu. Gdy mijała otwarte drzwi, ujrzała na mgnienie oka połyskujące w świetle lampy meble z pasowym brokatowym obiciem. W głębi korytarza znów panował głęboki mrok, a na

samym końcu znajdowały się półotwarte drzwi.

"To musi być pokój szkolny - pomyślała - a zaraz za nim na pewno będzie dziecinny".

- Istnieją pewne różnice - znów usłyszała głos pani Zofii - i rzucają się od razu w oczy. Na przykład...

Ariette podobał się ten głos. Był silny i jakoś krzepiący, podobnie jak dźwięk zegara w hallu, i gdy zeszła z dywanu na wyfroterowaną posadzkę za szafą, sięgającą sufitu, przystanęła zaciekawiona, by posłuchać rozmowy.

Dowiedziała się, że w Irlandii na torach wyścigowych stawiają murowane przeszkody, a nie żywopłoty.

Rozciągała się przed nią wolna przestrzeń posadzki, mogła więc swobodnie biec przed siebie. Po puszystych dywanach trudno jest chodzić - są za gęste, włos czepia się sukienki, hamuje kroki. Posadzka jest natomiast gładka i pachnie woskiem. Arietta lubiła ten zapach. Gdy znalazła się w pokoju szkolnym, zobaczyła, że

jest tu pełno różnych gratów. I tu także palił się gaz, tak przykręcony, że widać było tylko niebieski płomyk. Tutaj podłoga była malowana olejno, w niezbyt dobrym stanie, a leżące na niej dywaniki dość nędzne. Pod stołem ziała

wielka, ciemna jama. Arietta weszła w tę ciemność i posuwała się po omacku, aż w końcu potknęła się o zakurzony podnózek, wyższy od niej. Wylazła spod stołu i rozejrzała się w półmroku. Zobaczyła w gablocie oszkloną szafę, a za szybą serwis do herbaty dla lalek, ujrzała także obraz nad kominkiem i firankę, na której jej ojciec był widziany. Wszędzie stały krzesła, a nogi i siedzenia zasłaniały jej widok. Znalazła w końcu drogę do drzwi sypialni - i tam w cieniu, w głębi, dostrzegła łóżko, a w łóżku leżącego

Chłopca. Ujrzała jego wielką twarz na poduszce, obróconą ku niej; ujrzała blask gazu odbijający się w jego otwartych oczach; ujrzała jego rękę przytrzymującą kołdrę tak, że przysłaniała mu usta.

Arietta stanęła w milczeniu. Dopiero po chwili, gdy

spostrzegła jego palce poruszające się na kołdrze, rzekła cicho i łagodnie - Nie przerażaj się... To ja, Arietta.

Wysunął głowę spod kołdry i zapytał

- Jak? Ar...



-...ietta - dokończyła. - Znalazłeś ten list?

Patrzył na nią przez chwilę bez słowa, wreszcie powiedział - Dlaczego tak zakradasz się, zakradasz do mego pokoju?

- Wcale nie zakradam się, nie zakradam - odpowiedziała przedrzeźniając go Arietta. - Nie tylko nie stapałam na palcach, ale szybko biegłam. Widziałeś? Milczał, patrząc na nią swymi wielkimi, szeroko otwartymi oczyma. - Wtedy jak wróciłem z książką - rzekł w końcu już ciebie nie zastałem. - Musiałam wracać do domu. Na podwieczorek. Mama czekała. Zrozumiał to widocznie, gdyż już nie robił jej wyrzutów.

- Znalazłeś ten list? - zapytała znowu.

- Tak - odparł - ale musiałem chodzić po niego dwa razy, i znalazłem także tę norę borsuka... Nagłym ruchem odrzucił kołdrę, zerwał się i stanął na łóżku, ogromny w swej długiej jasnej, flanelowej koszuli nocnej. Teraz z kolei wystraszyła się Arietta. Nie odrywając oczu od jego twarzy, zaczęła cofać się z wolna w kierunku drzwi. ale Chłopiec nie zwracał na nią uwagi. Szukał czegoś po omacku za obrazem wiszącym na ścianie.

- Jest tu - rzekł siadając, a łóżko skrzypnęło pod nim głośno. - Ale ja nie chcę tego listu z powrotem! - zawołała Arietta, przysuwając się znów o kilka kroków. - Miałeś przecież zostawić go tam, u nich... Dlaczego przyniosłeś ten list z powrotem? Chłopiec obracał kartkę w swych palcach.

- Tu jest odpowiedź - rzekł.

- O, daj mi, proszę! zawołała Arietta. - Pokaż mi prędko!

Podbiegła do łóżka i wyciągnęła rękę po leżący arkusik papieru. - A więc żyją! Widziałeś ich?

- Nie - odrzekł. - Znalazłem tylko list. Przykucnąłem nad norą borsuka i zobaczyłem go tam, gdzie położyłem twój. Przechylił się do niej i rzekł

- Przeczytaj, co tu jest napisane.

Ariettaomal nie wydarła listu z jego wielkich palców, ale pamiętała o tym, żeby nie znaleźć się w zasięgu jego ręki. Trzymając list, podbiegła do drzwi pokoju szkolnego, w którym światło, chociaż przyćmione, było jednak jaśniejsze niż w sypialni.

- Strasznie niewyraźnie - rzekła, trzymając list tuż

przed oczyma. - Co tu jest napisane? Samymi kużymi literami... Nagle odwróciła się do niego podejrzliwie

- Czyś to aby nie ty sam napisał?

- Skądże! Ja umiem pisać tylko małymi...

Poznała po wyrazie jego twarzy, że mówi prawdę, i zaczęła z wolna sylabizować literę po literze - POWIEC... "C"?! Powiedz - przez "C"?

- No, widzisz - rzekł Chłopiec.

- POWIEC CIOCI... Jakiej cioci? Mojej!

Chłopiec nic nie odpowiedział i Arietta czytała dalej - CIOCI LU... CIOCI LUCY, rozumiem! -

wykrzyknęła. - Już wiem wszystko! Posłuchaj POWIEC CIOCI LUCY, ŻEBY WRUCIŁA DO DOMU! Znów zapadło na chwilę milczenie.

- No, więc powiedz jej - rzekł Chłopiec.

- Ale ja nie wiem, gdzie ona jest! - zawołała Arietta. - Dawno jej nie widziałam! Nie pamiętam, jak wygląda. - Słuchaj - rzekł Chłopiec, spoglądając na drzwiktoś idzie! Arietta poruszyła się szybko i rozejrzała wokoło.

Zorientowała się, że i tak nie zdąży się już ukryć

w drzwiach stał Strączek, z workiem do pożyczania w jednej ręce i ze szpilką w drugiej. Światło padało w ten sposób, że kontury jego maleńkiej postaci rysowały się wyraziście, a mglisty cień padał przed nim. Dostrzegł Ariettę.

- Usłyszałem twój głos - rzekł z przerażającym spokojem - gdy wychodziłem z pokoju Pani. Arietta obejrzała się i ukryła list pod swetrem.

Czy ojciec widział wewnątrz mrocznego pokoju? Czy

widział tę rozczochraną postać w łóżku?

- Chodź do domu - rzekł Strączek i zawrócił.

## ROZDZIAŁ CZTERNASTY

Strączek nie odzywał się do niej ani słowem przez całą drogę. Ani nie patrzył na nią. Przyspieszała kroku, jak mogła, by za nim nadążyć. Nie zwracał uwagi na jej wysiłki, gdy pomagała mu zamykać bramki, tylko raz, kiedy się potknęła, poczekał, aż wstanie, i spoglądał na nią spod oka (ale, jak jej się zdawało, bez większego zainteresowania), gdy strzepywała kurz ze swych kolan. W pokoju stół był już nakryty do kolacji, Dominika odstawiła żelazko i przybiegła z kuchni, a gdy zobaczyła ich oboje razem, stanęła zaskoczona. Strączek zrzucił worek i spojrzał na żonę.

- Co się stało? - zapytała Dominika przenosząc wzrok z twarzy męża na twarz córki.

- Ona była w sypialni na górze - rzekł Strączek spokojnie - i rozmawiała z Chłopcem!

Dominika cofnęła się o krok, jej drżące ręce plasnęły o fartuch, a oczy nabrały błędnego wyrazu.

- Och - jęknęła - to niemożliwe!

Strączek usiadł przy stole. Przesunął ręką po oczach i czołe ruchem świadczącym o zmęczeniu. Był bardzo zgnębiony.

Dominika stała w milczeniu, z załamanymi rękoma.

Podniosła głowę i spojrzała na Ariettę.

- Och, nigdy bym... - szepnęła i urwała.

"Oni są przerażeni - stwierdziła Arietta. - Nie są ani trochę źli, tylko straszliwie przerażeni".

Postąpiła krok naprzód.

- Wszystko jest w porządku zaczęła.

Dominika, cała rozdygotana, usiadła na, kłębku bawełny. Głowa jej się trzęsła. - Uspokój się, mamó! - prosiła Arietta. - Nie stało

się nic złego. Naprawdę, nie ma się czego martwić!

Sięgnęła pod swój sweterek. W pierwszej chwili nie mogła znaleźć listu - przesunął się gdzieś w bok - wreszcie wyciągnęła mocno pogniecioną kartkę.

- Spójrz - rzekła - tu jest list od wuja Henryka. Napisałam do niego, a Chłopiec zaniósł ten list... -

Napisałaś do niego?! - krzyknęła Dominika przeraźliwie. - Och!... - skurczyła się cała i przymknęła oczy.

- Powiedz, co ty jeszcze zrobiła? Co jeszcze? I co my teraz poczniemy? - i powachlowała się kościstą dłonią. - Daj matce wody, Arietto! - zawołał Strączek. Arietta przyniosła wody w przepiłowanej łupince od

orzecha laskowego (Strączek odpijał spiczasty koniec i łupinka przybrała kształt szklaneczki).

- Dlaczegoś to zrobiła, Arietto? - zapytała Dominika już spokojniej, odstawiając opróżnioną szklaneczkę na stół. - Co też ci przyszło do głowy?

Wówczas Arietta opowiedziała rodzicom, jak to było, gdy została widziana pod drzewem wiśniowym. Nie opowiedziała im o tym wcześniej, bo nie chciała ich martwić, a Chłopiec mówił przecież, że oni wszyscy "powymierają". I dlatego wydawało jej się takie ważne,

wprost konieczne, żeby upewnić się, czy wuj Henryk i jego rodzina żyją. - Zrozumcie = broniła się Arietta

- proszę was,

zrozumcie! Chciałam uratować cały nasz ród!

- Jak ona się wyraża! - rzekła Dominika do Strączka,

nie bez dumy. Ale Strączek nie słuchał.

- Uratować nasz ród! - powtórzył gniewnie. - Jeśli takie osoby jak ty, moje dziecko, będą popełniały nieobliczalne postęпки, nie szanując tradycji, to nasz ród, ród Pożyczalskich, zginie raz na zawsze. Czy nie rozumiesz, coś ty zrobiła? Arietta nie unikała jego oskarżającego spojrzenia.

- Rozumiem - rzekła zająknawszy się. - Odszukałam pozostałych jeszcze przy życiu... I teraz - ciągnęła odważnie - i teraz będziemy już trzymali się wszyscy razem... - Wszyscy razem! - powtórzył Strączek ze złością. - Myślisz, że Henryk będzie chciał tu wrócić? A może wyobrażasz sobie, że twoja matka wyemigruje do

nory borsuczej i będzie mieszkać w szczerym polu, bez gorącej wody do mycia?!

- Nigdy! - krzyknęła Dominika pełnym głosem, tak donośnie, aż drgnęli oboje.

- Albo wyobrażasz sobie mamę idącą na przelaj przez pole - ciągnął Strączek - przez pole pełne wron i krów, i koni, i lichu wie czego tam jeszcze, do cioci Lucy, której, nawiasem mówiąc, nigdy nie lubiła? Ale czekaj - widząc, że Arietta otwiera usta, nie pozwolił jej przyjść do słowato wszystko nie jest jeszcze takie ważne. Najważniejsze jest to - nachylił się ku niej i następne słowa wypowiedział z naciskiem i wielką powagą - że ten Chłopiec wie, gdzie mieszkamy!

- Wcale nie wie - zaprotestowała Arietta żywo ja mu tego nie powiedziałam. Ja...

- Powiedziałaś mu - przerwał jej ojciec - że pękła rura w kuchni. Powiedziałaś mu, że wszystkie nasze rzeczy zalała woda, aż do zakratowanego okienka. Strączek usiadł nie spuszczać oczu z Arietty.

- Reszty może już domyślić się sam - rzekł.

Arietta milczała, mówił więc dalej

- To, co się stało, stało się po raz pierwszy... Nigdy nie zdarzyło się nic podobnego w całej długiej historii Pożyczalskich. Owszem, zdarzało się, że Pożyczalscy byli widziani - może i zdarzało się, że byli nawet przyłapywani - tak, i to było możliwe. Ale nigdy dotychczas żaden Człowiek nie dowiedział się jeszcze, gdzie Pożyczalscy mieszkają. Znaleźliśmy się w bardzo wielkim niebezpieczeństwie, Arietto, tylko z twojej winy. I to jest fakt niezbity. - Och, Strączku - zaszlochala Dominika - nie strasz dziecka! - Uspokój się - rzekł Strączek, już o wiele łagodniej, do żony - moje ty biedactwo! Nie chciałbym straszyć nikogo, ale sytuacja jest poważna. Przypuś, my, że powiedziałbym ci "Pakujmy nasze manatki i uciekajmy zaraz, tej nocy!..." Dokąd byś poszła?

- Nie do Henryków! - zawołała Dominika. - Aby tylko nie do nich, mój drogi! Za nic na świecie nie chciałabym mieć wspólnej kuchni z Lucy!... - Masz rację - zgodził się Strączek. - A wiesz dlaczego?

Dlatego, że Chłopiec wie również, Henryk. gdzie mieszka

- Ach krzyknęła Dominika, głęboko wstrząśnięta.

Mówi dalej Strączek - parę zmyślnych

foksterierów lub dobrZe wytresowana łasica z wszystkimi konieC! nami - Strączku... jęknęła Dominika i znów Zadrzała.

Myśl O koniecznOści Zamieszkania w norZe bOrsuczej wydawała jej się straszna ale śWiadomośĆ, że nawet i tam czułyby się niebezpiecznie, była jeszcze bardziej przerażająca. - Co pisał wuj Henryk w tym swoim liście? - zwrócił się Strączek do Arietty. - Bardzo niewiele - od list. - Tylko tyle odparła Arietta, wręczając mu "PowiedZ CIOci Lucy, żeby wróciła do dOmu".

trzymaj Zawołała Dominika i wzięła list do ręki, do góry nogami. - Co to ma znaCzyć? DO dOmu? Co to ma znaCZyĆ?

- NaJWidoczniej - rzekł Strączek, że Lucy powiedziała mu, że idZie do nas, i nie przysła! - Tak powiedZiała? zapytała Dominika z niedowierzaniem.

- A kiedy to było?

- A skąd ja mogę wiedzieć? - rzekł Strączek.

- W liście nic o tym nie ma - wtrąciła Arietta.

- Ale to przecież mogło być.. przed paroma tygodniami! zawołała Dominika. - Możliwe - zgodził się Strączek. było to już tak dawno. - W każdym razie ten biedny Henryk chce, żeby wróciła. - A małe dzieciaczki! - użaliła się Dominika.

- One już podrosły - sprostował Strączek.

- Z Lucy musiało stać się coś złego! - zawołała Dominika. - Nie widzieliśmy jej już od bardzo dawna - zauważył Strączek. - I wątpię, czy zobaczymy kiedykolwiek - rzekła Dominika i oczy jej napęłniły się łzami. Zapanowało milczenie. Pierwsza przerwał je Dominika.

- Słuchaj, Strączku - rzekła trzeźwo - nasze życie wisi na włosku. Co mamy robić? - W tej chwili nic - odparł Strączek. - W każdym razie nie dziś w nocy. To jest pewne. Zjedźmy kolację i chodźmy spać. I mówiąc to, wstał.

- Och, Arietto! - uderzyła nagle w lament Dominika. - Okropna, niegodziwa dziewczyno! Jak mogłaś to zrobić? Jak mogłaś iść i powiedzieć to wszystko Człowiekowi? Gdyby tylko... -Byłam widziana! - krzyknęła Arietta. To nie moja wina! Tatuś także był widziany! I to wszystko wcale nie jest takie straszne, jak próbujecie mi wmówić. I ja wcale nie uważam, żeby... oni... byli tacy źli... - Są źli i są dobrzy - rzekł Strączek. - Są uczciwi i są nieuczciwi - zależy, w jakiej chwili się z nimi zetkniesz. Zwierzęta, gdyby umiały mówić, powiedziałyby ci to samo Staraj się ich unikać - zawsze ci to powtarzałem. Bez względu na to, co będą ci obiecywali. Doprawdy, jeszcze nigdy nic dobrego nie spotkało nas od Człowieka.

## RoZdział PIĘTNASTY

Tego wieczora, gdy Arietta leżała już cichutko w swoim pokoiku z pudełek od cygar, Dominika i Strączek rozmawiali do północy. Siedzieli najpierw w bawialni, potem przeszli do kuchni, a później, znacznie później, Arietta słyszała, jak szeptali długo jeszcze w sypialni. Słyszała także trzask wyciąganych szuflad i przesuwanych szaf, skrzypienie otwieranych drzwi i szuranie pudełek wyjmowanych spod łóżek. "Co oni robią! - zastanawiała się Arietta. - co teraz z nami będzie!" Leżała cichutko w swym miękkim, małym łóżeczku, wpatrzona w znajomy sufit, i wodziła oczyma po dobrze znanych sobie przedmiotach. "o tu znaczek pocztowy z widokiem portu w Rio de Janeiro; oto srebrna świnka od bransoletki; oto pierścionek z turkusem, który od czasu do czasu, dla zabawy, wkładała na głowę jako koronę i oto najmiłszy ze wszystkiego widok damy w powiewnych szatach dmące w złote trąby nad spokojnym miastem. Nie chciałyby tych wszystkich rzeczy utracić - nagle zdała sobie z tego sprawę, gdy tak leżała cichutko, wyciągnięta w swym łóżku - chciałyby jednak mieć wiele innych rzeczy. Pragnęła jednocześnie niebezpiecznych przygód i bezpiecznego życia. A to właśnie (jak domyśliła się z tych nieustannych szeptów i szmerów w pobliżu) było nieosiągalne. Początkowo Dominika bardzo się denerwowała, nie mogła usiedzieć spokojnie, otwierała i zamykała szuflady, Ale skończyło się na tym, że zdecydowała się zakręcić włosy na papiloty. - Dajże spokój Dominiko! - zaprotestował Strączek, już leżąc w łóżku w nocnej koszuli. - Doprawdy, czy to potrzebne?! I tak cię nikt nie zobaczy. - W tym rzecz - powiedziała Dominika, szukając jednocześnie w szufladzie skrawków papieru na papilotyże w tej chwili nic nie można przewidzieć. Nie chcę, żeby mnie kto zobaczył z takimi włosami! - mówiła dalej, rozdrażniona, wywracając szufladę do góry nogami i przerzucając niecierpliwie jej zawartość. Położyła się wreszcie i z głową najeżoną papilotami wyglądała jak zabawna, czarna laleczka. Strączek westchnął, odwrócił się na drugi bok i wreszcie zamknął oczy. Dominika leżała długo, wpatrzona w lampkę olejną była to srebrna zakrętka od buteleczki perfum, z cienkim, pływającym po wierzchu knotem. Nie chciała zgasić lampki, i to nie bez powodu. W kuchni na górze trwał jakiś dziwny ruch, ruch niezwykle o tak późnej porze - domownicy powinni byli już dawno spać - a poza tym uwierały ją papiloty. Patrzyła tak, jak w tym samym czasie Arietta, na dobrze znany pokój (za pełno w nim było, jak zauważyła, różnych toreb i torebek, pudeł i pudełek, nie licząc poprzesuwanego szaf i kredensów) i myślała "I co teraz? Może rzeczywiście nic się nie stanie, może dziecko ma rację - robimy wiele hałasu o nic. Ten Chłopiec właściwie przyjechał nie na stałe. Może wyjedzie wkrótce. Tak - pocieszała się sama, już zasypiając - na pewno wyjedzie niebawem..." Zasnęła widocznie, gdyż - jak zdała sobie sprawę później - śniło się jej, że idzie na przełaj przez pole Nad Potokiem. Była noc i dął wiatr, i pole wydawało jej się bardzo spadziste. Czołgała się na czworakach wzdłuż wystającej z ziemi rury gazowej i raz po raz potykała się i przewracała w wilgotnej trawie. Drzewa trzeszczały i huczały, a gałęzie chwiały się i chygotały na tle nieba. I nagle - jak to opowiadała w parę tygodni później) rozległ się łoskot rąbanego drzewa... Dominika zbudziła się. Znow zobaczyła swój sypialny pokój i mrugającą lampkę oliwną, ale naraz poczuła, że nastąpiła jakaś zmiana zrobiło jej się zimno, jak od nagłego przeciągu, i w ustach jej zaschło; w pokoju pełno było żwiru. Spojrzała w górę, na sufit, pisnęła przeraźliwie - Patrz! - i uczepliła się kurczowo ramienia męża. Strączek odwrócił się także i spojrzał w górę. Oboje nie odrywali już teraz oczu od sufitu; przechylił się cały na ukos, jeden jego bok odstawał od ściany - tędy wdzierał się zimny powiew - a na dole, o cal od nóg ich łóżka, wsunął się do pokoju jakiś dziwny przedmiot, wielka sztaba z szarej stali, z przypłaszczonym, błyszczącym ostrzem. - Śrubokręt - stwierdził Strączek cicho. Wpatrywali się jak urzeczeni, znieruchomiali, milczący.

Po chwili ów ogromny przedmiot przesunął się ku górze, tak że ostry brzeg znalazł się pod sufitem ich pokoju i Dominika usłyszała jakby odgłos skrobania na podłodze nad nimi, a potem - ludzki oddech. - Och, moje kolana jęknęła - och, czuję dreszcze!...

W tej samej chwili dał się słyszeć trzask odrywanej deski, cały dach ich mieszkanka odskoczył z łoskotem i spadł gdzieś tak daleko, że nawet nie mogli go zobaczyć.

Dominika krzyknęła. Tym razem był to prawdziwy krzyk, głośny, przejmujący krzyk spod serca. Oczy jej na pół przerażone, na pół zaciekawione utkwily w pustej przestrzeni nad głową. Spostrzegła, że teraz rozciąga się nad nią drugi strop, daleko i wysoko, wyżej - jak się jej zdawało - niż niebo. Z tego drugiego sufitu zwisała szynka i dwa wianki cebuli. Na progu zjawiała się Arietta, wystraszona i drżąca, w swym szlafrocuku. Strącek szturchnął Dominikę w plecy. - Stało się - rzekł. - Uspokój się już teraz! I co najdziwniejsze, Dominika uspokoiła się od razu.

Pomiędzy nimi a odległym, wysokim sufitem pojawiła się nagle wielka twarz. Schyliła się nad nimi, uśmiechnięta i straszna. Dominika siedziała na łóżku wyprostowana, z ustami szeroko otwartymi.

- To twoja matka? - rozległ się po chwili zdziwiony głos i Arietta, stojąc w progu, wyszeptwała

- Tak.

Był to Chłopiec.

Strącek wyskoczył z łóżka w nocnej koszuli.

- Wstań! - rzekł do Dominiki. - Nie możesz tak leżeć!

Ale Dominika nie mogła wstać. Miała na sobie starą koszulę nocną z dużą łątą na plecach i żadna siła nie zmusiłaby jej do opuszczenia łóżka w tym stroju. Złość w niej rosła akurat musiała pokazać się w papilotach! Strącek już wyciągnął do niej rękę...

Przypomniała sobie nagle, że wczoraj na skutek zamętu po raz pierwszy w życiu nie pozmywała po kolacji i zostawiła brudne naczynia na rano, i teraz stoją w kuchni na stole, tak żeby cały świat mógł je oglądać! Spojrzała na Chłopca. To przecieździecko w gruncie rzeczy. - Nałóż dach z powrotem! - zawołała. - Nałóż z powrotem, natychmiast! Oczy jej błyszczały, a papiloty chwiały się wokół głowy. Chłopiec przykląkł i nim Dominika zdążyła się cofnąć, jego wielka twarz pochyliła się nad nią. Dominika ujrzała z bliska jego dolną wargę, różową i pełną - jakby wyolbrzymione usteczka Arietty - i trochę jakby drżącą. - Ale ja przyniosłem coś dla was - rzekł. Wyraz twarzy Dominiki nie zmienił się ani trochę, lecz Arietta, stojąc wciąż jeszcze w progu, zawołała

- Co przyniosłeś?

Chłopiec sięgnął ręką w tył i bardzo ostrożnie uniósł nad ich głowami jakiś drewniany przedmiot, starając się utrzymać go prosto. - To właśnie przyniosłem - odparł i głośno dysząc, wysunawszy nieco język, delikatnie złożył ów przedmiot w ich mieszkaniu. Był to kredens dla lalek, z całym kompletem talerzy w górnej części i z dwiema szufladami w dolnej. Chłopiec postawił kredens przy nogach łóżka, w którym leżała Dominika. Arietta przybiegła, by przyjrzeć się z bliska. - O! - zawołała z zachwytem. - Spójrz, mamol

Dominika rzuciła okiem na kredens - był z ciemnego drzewa dębowego, a talerze były ręcznie malowane i szybko odwróciła wzrok. - Tak - rzekła chłodno. - Bardzo ładny.

Zapanowało milczenie, którego żadne z nich nie umiało przerwać. - Ten kredens można otwierać - odezwał się Chłopiec pierwszy i jego duża ręka, pachnąca mydłem kąpielowym, wsunęła się między tamtych troje.

Arietta przywarła do ściany przypłaszczona, a Strącek wykrzyknął nerwowo - No, teraz...

Ale po chwili ręka Chłopca cofnęła się i Strącek wydał głębokie westchnienie ulgi. - No, widzisz, Dominiko - rzekł uspokajająco - zawsze pragnęłaś czegoś takiego właśnie. - Tak, to prawda - przyznała Dominika.

Siedziała wyprostowana na łóżku, z rękoma złożonymi na kołdrze. Po chwili zwróciła się do Chłopca -  
Dziękuję - i dodała chłodno - A teraz proszę  
nałożyć dach z powrotem.

- Jeszcze chwilkę - poprosił Chłopiec.

Znów sięgnął ręką za siebie - i znów postawił, obok  
kredensu, tak blisko, że ledwo miejsca starczyło, fotel dla lalki. Był to miniaturowy fotel w stylu  
wiktoriańskim, obity czerwonym aksamitem. - O! - znów wykrzyknęła Arietta entuzjastycznie,  
a Strączek dodał nieśmiało

- Będzie dla mnie akurat jak ułał.

- Spróbuj usiąść - poprosił Chłopiec.

Strączek spojrzał na niego zaniepokojony.

- Siadaj, tatusiu! - zachęciła go Arietta i Strączek  
zgodził się usiąść.

- Bardzo wygodnie - przyznał po chwili.

- Postawimy go w bawialni - orzekła Arietta. Będzie ślicznie wyglądał na dywanie z czerwonej bibuły! -  
Spróbujmy - rzekł Chłopiec i jego ręka znów ukazała się nad ich głowami. Strączek zdążył uskoczyć w  
samą porę, żeby podeprzeć przewracający się kredens, gdy fotel z aksamitnym obiciem wędrował ponad  
jego głową, zanim znalazł się w sąsiednim pokoju. Arietta wybiegła na korytarz, żeby zobaczyć, jak  
będzie wyglądał. - O, jak ślicznie! - zawołała do rodziców. - Chodźcie zobaczyć! Lecz Dominika i  
Strączek nie ruszali się z miejsca.

Chłopiec klęczał nachylony tuż nad nimi, głośno dysząc, tak że mogli widzieć dokładnie środkowe guziki  
na jego nocnej koszuli. Z zainteresowaniem oglądał sąsiedni  
pokój.

- Co wy trzymacie w tym słoiku od musztardy? zapytał.

- Węgiel - odpowiedziała Arietta. - A ja pomagałam

pożyczyć ten nowy dywan. A tu jest zegarek, o którym ci mówiłam, i obrazy... - Mogę dać ci lepsze  
znaczki niż te - rzekł Chłopiec. Mam parę jubileuszowych, z widokiem Taj Mahal. - Patrz! - rozległ się  
znów głosik Arietty, a Strączek niespokojnie ujął dłoń żony i ucisnął. - To są moje książki.

Dominika przytuliła się trwożnie do Strączka, widząc, że wielka ręka zmierza znów w kierunku Arietty. -  
Co to za książki? - zapytał Chłopiec i Arietta przeczytała mu tytuły. - Strączku - wyszeptała Dominika. .Ia  
zaraz zacznę krzyczeć! - Nie - odrzekł Strączek również szeptem. - Opanuj  
się! Bądź cicho!

- Czuję, że znów mnie nachodzi... - szepnęła Dominika.

Strączek spojrzał na nią zafrasowany.

- Wstrzymaj oddech - poradził jej - i licz do dziesięciu. A Chłopiec tymczasem mówił do Arietty  
Dlaczego nie możesz przeczytać mi twego dzienniczka?

- Ależ mogę! Tylko wolałabym przeczytać ci coś  
innego.

Przecież ty nigdy nie przychodzisz - skarżył się  
Chłopiec.

- To prawda.. Wierz mi, że bardzo chcę...

- Strączku - szepnęła Dominika - słyszysz, co ona  
mówi? Słyszałeś, co powiedziała?

Tak, tak! - odparł również szeptem Strączek. Zachowuj się spokojnie! - A chcesz zobaczyć naszą  
spizarnię? - zaproponowała Arietta. Słyszając to Dominika piasnęła się dłonią po ustach, by stłumić okrzyk.  
Strączek wspiął się na palce i chcąc ściągnąć uwagę Chłopca na siebie, zawołał - Hej, tam!...

Chłopiec spojrzał na niego z góry.

- Nałóż dach z powrotem - poprosił Strączek, starając się mówić spokojnie i rzeczowo - bo nam jest  
zimno. - Dobrze - zgodził się Chłopiec, ale zdawał się jeszcze ociągać. Po chwili sięgnął ponad ich  
głowami po deskę, która tworzyła dach ich mieszkania. - Przybić gwoździami? - zapytał.



Zobaczyli, że podniósł młotek. Wymachiwał nim w powietrzu, co wyglądało bardzo groźnie. - Przybij gwoździami, rozumie się! - rzekł Strączek już dobrze zirytowany.

- Chodzi o to - wyjaśnił Chłopiec - że mam dla was jeszcze sporo innych rzeczy.

Strączek zastanowił się, ale Dominika trąciła go łokciem. - Zapytaj go - szepnęła mu - co to są za rzeczy. - Co to są za rzeczy? - powtórzył Strączek na głos.

- Różne przedmioty ze starego domku dla lalek, który stoi na górnej półce w oszklonej szafie w pokoju szkolnym. - Nie widziałem nigdy domku dla lalek - oświadczył Strączek. - Stoi w oszklonej szafie - powtórzył Chłopiec - bardzo wysoko. Nie mogłeś go widzieć, bo wdrapywałeś się tylko na dolne półki. - Jakie są te przedmioty z domu dla lalek? - zainteresowała się Arietta. - Och, najrozmaitsze - odparł Chłopiec. - Dywany i dywaniki, i łóżka z materacami, i ptaszek w klatceoczywiście, nieżywy - i patelnie, i stoliki, i pięć zielonych krzesełek, i doniczka z palmą, i półmisek z ciastkami z gipsu, i imitacja pieczeni baraniej... . Dominika nachyliła się nad uchem Strączka.

- Powiedz mu, żeby przybił deseczkę gwoździami, ale lekko - szepnęła. Strączek spojrzał na nią, a ona przytaknęła energicznym ruchem głowy. Strączek zwrócił się do Chłopca.

- Dobrze - rzekł - przybij deseczkę gwoździami. Ale lekko. Rozumiesz, co chcę przez to powiedzieć? Stuknij najwyżej raz lub dwa - w jednym czy w drugim miejscu...

## ROZDZIAŁ SZESNASTY

Odtąd rozpoczął się najbardziej interesujący okres w ich życiu pożyczanie, o jakim nikomu się nie śniło, złoty wiek pożyczania. Co wieczór dach uchylał się i ukazywały się skarby prawdziwy dywan do jadalni, malutki kubelek na węgiel, kanapka z poduszkami krytymi adamaszkiem, dwuosobowe łóżko z okrągłym wałkiem pod głowę, pojedyncze łóżeczko z materacem w paski, obrazki w ramach na miejsce znaczków pocztowych, kuchenka, na której wprawdzie nie można było gotować, ale za to "prześlicznie" wyglądała w kuchni, stoliki owalne i stoliki kwadratowe, i małe biurczko z jedną szufladką; i dwie szafy z klonowego drzewa (jedna z lustrem), i duże biurko na wygiętych nóżkach. Dominika nie tylko przyzwyczaiła się do zdejmowania i nakładania dachu, ale posunęła się nawet do tego, że zaproponowała Strączkowi, ażeby deskę od podłogi, zastępującą dach, zrobić na zawiasach.

- Nie lubię tego przybijania młotkiem nad głową - oświadczyła - a poza tym wszystko się kurzy w mieszkaniu. Gdy Chłopiec przyniósł fortepian, Dominika zaczęła błagać męża, żeby dobudował salon.

- Obok bawialni - mówiła - a spiżarnię możemy przesunąć trochę dalej. Mielibyśmy gdzie postawić palmę w doniczce i złożone krzeselka, o których on mówił. . . Jednakże Strączek był już trochę zmęczony tym ustawicznym przesuwaniem mebli. Marzył o cichym wieczorze, kiedy będzie mógł nareszcie usiąść spokojnie przy kominku w swym nowym fotelu obitym czerwonym aksamitem i zdrzemnąć się trochę.

Ale ledwo zdążył ustawić komodę w jednym miejscu, kiedy Dominika, stojąc w drzwiach by lepiej "ocenić efekt" - już kazała mu "spróbować" postawić komodę gdzie indziej. I co wieczór, mniej więcej o tej porze, kiedy szli spać, dach unosił się w górę i w ich mieszkanku pojawiały się nowe sprzęty. Dominika była niezmordowana z pałającymi oczyma i zaczerwienionymi policzkami, nigdy nie miała dość przesuwania mebli i nie chciała odkładać niczego do jutra.

- Spróbuj jeszcze tylko to - prosiła, podpierając ramieniem szeroką szafę dla lalek z jednej strony, tak żeby Strączek musiał podeprzeć ją z drugiej - to nie potrwa dłużej niż minutę!

Ale Strączek wiedział już z doświadczenia, że minie kilka godzin, zanim wreszcie potargany, zmęczony i obolały będzie mógł położyć się do łóżka. A nawet jeszcze w nocy Dominika wyskakiwała z łóżka, żeby ostatni raz rzucić okiem na nowe umeblowanie. Arietta, przez wdzięczność za dostarczenie tych wszystkich bogactw, codziennie po południu czytała Chłopcui na głos książki. Chłopiec kładł się na trawie pod drzewem wiśni, ona zaś stawała tuż przy jego ramieniu i mówiła mu, kiedy ma odwrócić kartkę. Były to szczęśliwe dni - takimi zostały jej w pamięci - gałęzie drzewa wiśniowego rysowały się na tle błękitnego nieba, trawa falowała łagodnie, a wielkie ucho Chłopca sterczało tuż obok niej. Znała to ucho już na pamięć, wszystkie załamania i wszystkie cienie, i plamy słońca, różowe i złote. Czasami ośmielała się nawet oprzeć cała na ramieniu Chłopca. Zachowywał się bardzo cicho, gdy czytała mu

książkę, i zawsze jej za to dziękował.

Jakież to nowe światy odkrywali oboje - światy tak dziwne dla Arietty! Dowiedziała się i zapamiętała sobie raz na zawsze, że ziemia, na której mieszkają, wiruje w przestrzeni dokoła słońca całkowicie obojętna na sprawy małych ludzików.

- Ale na sprawy dużych także jest obojętna - przypomniała Chłopcui, widząc, że uśmiecha się skrycie. Pod wieczór, gdy robiło się chłodniej, Strączek - bardzo zmęczony, rozczochrany i zakurzony - przychodził po

Ariette, żeby zabrać ją na podwieczorek. A w domu czekała na nich Dominika z wypiekami na twarzy - i nowe przyjemności, nowe niespodzianki. - Zamknij oczy! - wołała Dominika. - A teraz otwórz!

I Arietta uradowana widziała, jak jej dom ulega przemianom i staje się coraz ładniejszy. Codziennie przybywało tyle nowych rzeczy. Pewnego dnia znalazły się nawet koronkowe firanki nad kratą, z różowym sznurkiem do zaciągania.

Jedynym zmartwieniem Dominiki było to, że nikt tych wszystkich cudowności nie oglądał nikt nie przychodził z wizytą, nikt nie wpadał na chwilę - żadnych okrzyków zachwyty, żadnych zazdrosnych spojrzeń! Ileż by dała za odwiedzin kogoś Gzymsowiczów czy Klawesyńskich! Już nawet ktoś z Rynnów byłby mile widziany - wszystko lepsze niż nie!

- Napisz do wuja Henryka - mówiła do Arietty i opowiedz mu wszystko. Napisz ładny, długi list i niczego nie opuść, pamiętaj! Arietta zaczęła pisać na odwrocie nie nadającej się do użytku bibuły, ale ten list jej się nie udał wypadł tak, jakby spisywała nudną, bardzo długą listę różnych rzeczy, coś w rodzaju katalogu albo inwentarza domu, który ma być oddany w dzierżawę. Odrywała się od pisania, żeby policzyć łyżeczki lub zajrzeć do słownika, kiedy zabrakło jej jakiegoś słowa. W końcu odłożyła list i zabrała się do czegoś innego tyle było rzeczy do zrobienia, tyle książek do przeczytania, tyle nowości, które odsłoniły się przed nią, odkąd zaczęła rozmawiać z Chłopcem! - On był ciężko chory - opowiadała ojcu i matce i przyjechał tutaj, żeby mieć spokój i dobre powietrze na wsi. Ale wkrótce wyjeżdża, wraca do Indii. A czy ty

wiesz - zaskakiwała zdumioną matkę różnymi pytaniami - że na Antarktydzie noc trwa sześć miesięcy? A wiesz, że odległość między dwoma biegunami jest mniejsza niż długość średnicy ziemi?

Tak, to były szczęśliwe dni i wszystko byłoby dobrze,

gdyby - jak to mówił Strącek później - zadowolili się

tym, co można było wziąć z domu dla lalek. Nikt z dorosłych nie pamiętał, co było przedtem w domku dla lalek, nikt więc nie mógł zauważyć, że czegoś brakuje. Ale salon na górze nie przestawał kusić tak rzadko bywali tam ostatnio! W salonie pełno było różnych bibelotów, do

=których Strącek nie potrafił się dostać, a Chłopiec z taką łatwością mógł przecież zostawić oszklone drzwi serwantki otwartą. Najpierw Strącek przyniósł do domu srebrne skrzypce, a potem srebrną harfę, która sięgała mu do ramienia, i zaraz naprawił struny, przywiązując włos koński z kanapy stojącej w pokoju śniadaniowym.

- Moglibyśmy mieć prawdziwe koncerty! - wykrzyknęła Dominika radośnie, słysząc, jak harfa wydała cienki, bezdźwięczny prawie głos, gdy Arietta szarpnęła strunę z końskiego włosa. - Jeśli tylko - ciągnęła dalej z przejęciem, składając dłonie jeśli twój ojciec zechce urządzić nam elegancki salon! Ostatnio, co wieczór prawie, Dominika zakręcała włosy

na papiloty, a czasem, jeśli w domu był jaki taki ład i porządek, przebierała się nawet do kolacji wkładała jedwabną suknię, która wisiała na niej jak worek; ale Dominika lubiła ją i nazywała "grecką tuniką". -

Moglibyśmy przenieść do salonu twój malowany

sufit - mówiła do Arietty - a z tych klocków moglibyśmy ułożyć parkiet.

Słowo "parkiet" wymawiała "parrke" - tak samo jak ciotka Lucy.

Ta atmosfera starań i zabiegów zdawała się przenikać na górę, na pierwsze piętro starego, spokojnego domu, do sypialni z wyściełanymi meblami, którą zajmowała pani Zofia.

Gdy Strącek przychodził do niej ostatnio, zastawał ją już nie w łóżku, lecz w fotelu. Przychodził teraz nie na pożyczanie, tylko na pogawędkę. Pokój pani Zofii stał

się dla niego, rzecz można, klubem miejscem, gdzie mógł odpocząć, oderwać się myślą od "przyziemnych spraw".

Prawdę mówiąc, te wszystkie bogactwa już mu się uprzykrzyły w najśmielszych marzeniach nie wyobrażał sobie, że można aż tak dużo rzeczy napożyczać. Czuł, że Dominika powinna powiedzieć "Dość!" Teraz

w ich mieszkaniu naprawdę nie brakowało niczego do prawdziwej świetności. Te wszystkie wysadzone klejnotami tabakierki, te inkrustowane diamentami miniaturki, te filigranowe puzderka, te tigurynki z drczeńskiej poreelany, wszystko to - jak Strączek dobrze wiedział, wyniesione z serwantki w salonie - naprawdę nie było potrzebne. Bo i co komu przyjdzie na przykład z porcelanowej pasterki, tak niemal dużej jak Arietta, albo z ogromnego przyrządu do objaśniania świec? Siedząc przed kominkiem i grzejąc sobie ręce nad ogniem, Strączek patrzył na panią Zofię, jak wsparta na dwóch laskach kuśtykała po pokoju.

"Nieza długo już będzie mogła zejść na dół - myślał

ponuro, słuchając jednym uchem opowiadania o wspaniałym obiedzie, który jadła kiedyś na pokładzie jakiegoś rosyjskiego jachtu (historię tę znał już na pamięć, bo pani Zofia bardzo lubiła ją opowiadać) - a jak zejdzie na dół, to zauważy, ilu rzeczy jej brakuje..." Ale ktoś wyprzedził panią Zofię i wcześniej niż ona zauważył, że w serwantce nie wszystko jest w porządku. Tym kimś była gospodyni Dorota. Dorota nie mogła zapomnieć przykrości, jakie miała z powodu pokojówki Róży. Ponieważ nie udało się wtedy przyłapać winnego na gorącym uczynku, podejrzenie padło na wszystkich, nawet na ogrodnika Felicjana. "Odtąd - postanowiła Dorota - ja będę prowadzić gospodarstwo sama - Niena Żadnych obcych dziewczyn w tym domu".

Kieliszek madery, para podartych pończoch jakaś stara chusteczka do nosa - z tymi drobiazgami była, zdaniem Doroty, całkiem inna sprawa. Uważała, że do tego ma prawo, a na nic więcej sobie nie pozwalała. "Ale te różne bibeloty z serwantki w salonie - mówiła do siebie z gniewem, patrząc na ogołocone półki - to już całkiem inna historia!"

Owego fatalnego dnia, gdy tak stała w salonie zalanym blaskiem wiosennego słońca, z miotełką z kogucich piór

w ręku, jej małe, czarne oczki zwięzły się ze złości. Poczuli się oszukana. Wykalkulowała sobie, że ktoś, kto podejrzewa ją o nieuczciwość, rozmyślnie zastawia na nią pułapkę. Ale kto? Kto to może być?

Felicjan? Chłopiec? Pan Ludwik, który przychodzi nakręcać zegary?

Te rzeczy z serwantki znikają stopniowo, sztuka po

sztuce jest więc ktoś, co do tego Dorota nie miała wątpliwości, kto dobrze zna ten dom i kto chce znaleźć przygważdżające dowody, że to ona właśnie lubi ruszać cudze rzeczy. A może - przyszłój nagle na myśl - robi to sama pani?... Stara pani Zofia ostatnio wstaje już z łóżka i chodzi po pokoju. Mogła przecież zejść któreś nocy na dół, wspierając się o lasce, żeby sprawdzić, czy wszystko w domu jest w porządku. (Dorota przypomniała sobie nagle, że nieraz zostawiała w kuchni na stole pustą butelkę po maderze i dwa kieliszki). Może to pani sama wpadła na pomysł i niysłała dalej - żeby zabierać te drobiazgi, a potem wraca do swego pokoju, chowa je pod poduszkę i czeka, aż Dorota przyjdzie jej powiedzieć, że czegoś w serwantce brakuje? "Czy wszystko w porządku na dole, Doroto? - zapyta, jak zresztą pyta zawsze, i będzie patrzyła na Dorotę, mrużąc swe stare, drwiące oczy... - Ze mną nie ma żartów! - zawołała Dorota na głos, chwytając miotełkę tak, jakby to był kij do golfa. - Ale się zbłaźni, jak ją przyłapie... kiedy będzie się skradała po nocy do pokojów na parterze! Dobrze, dobrze, moja pani - mruzczała gniewnie - wsuwaj nos, gdzie chcesz... podpatruj sobie, szpieguj! I tak ten się śmieje, kto się śmieje ostatni!

## ROZDZIAŁ SIEDEMNASTY

Tego wieczora Dorota nie była zbyt uprzejma dla Felicjana nie siedziała z nim i nie piła madery jak zwykle, lecz krzątała się hałaśliwie po kuchni, od czasu do czasu rzucając na niego złe spojrzenia z ukosa. Felicjan czuł się nieswojo i można to było po nim poznać w milczeniu

Doroty kryła się jakaś groźba, coś się czaiło, czego nie można było nie zauważyć.

Nawet panią Zofię uderzyło dziwne zachowanie Doroty, gdy ta przyniosła jej wino do pokoju. Inaczej niż zwykle brzęknęła karafka o kieliszek, gdy Dorota postawiła tacę na nocnej szafce, inny odgłos wydawały metalowe kółka, gdy odsłaniała storę w oknie, inaczej człapały jej pantofle na posadzce, gdy wchodziła do pokoju, i inaczej szczęknięła klamka, gdy zamykała drzwi - wszystko to razem świadczyło, że Dorota jest dziś w bardzo złym humorze. "Co jej się stało?" - przeleciało przez myśl pani Zofii gdy powoli, delektując się, sączyła swój pierwszy poranny kieliszek madery. Chłopiec też odczuł zły humor Doroty, gdy siedział w wannie, a ona namydlała mu plecy myjką z trawy morskiej i pokrzykiwała "No, pochyl się! Rusz się trochę w tej wannie!" Potem nie odezwała się już do niego ani słowem.

Gdy Chłopiec spał, Dorota przeprowadziła rewizję w jego rzeczach zajrzała do szafy, pootwierala wszystkie szuflady. Wyciągnęła spod szafy do ubrań walizkę Chłopca i znalazła w niej jego ukochanego zdechłego jeża, cały skład kostek cukru, a także - swój najlepszy nóż do skrobania ziemniaków. Ale to jej nie wystarczyło. Wyrzuciła martwego jeża do kosza na śmieci, krzywiąc się i odymając wargi z obrzydzenia, a nóż i kostki cukru włożyła do kieszeni swego fartucha. Zanim przykręciła kurek od gazu, raz jeszcze spojrzała na śpiącego Chłopca. W tym spojrzeniu więcej było zdziwienia niż pretensji do winowajcy. Pokój Doroty znajdował się na pierwszym piętrze, nad zmywalnią. Tej nocy Dorota postanowiła położyć się nie rozebrana. Nastawiła budzik na godzinę dwunastą i postawiła go za drzwiami, żeby nie przeszkadzało jej tykanie. Rozsznurowała przyciasne trzewiki i dała nura pod pierzynę, aż się zasapała. Ledwo zdążyła zmrużyć oczy (jak opowiadała później Felicjanowi), gdy dzwonek budzika zabrzączał przeraźliwie. Wyskoczyła z łóżka i pobiegła do drzwi. - Tss! - szeptała, jak gdyby tym szeptem mogła uciszyć dzwoniący zegar. - Tss! - podniosła budzik i przycisnęła go do piersi, by stłumić brzęczenie. Bez trzewików, w samych pończochach, stanęła na brzegu schodów i spojrzała przez poręcz zdawało jej się, że coś błysnęło na dole - jakby smużka światła. Zaczęła schodzić wolno po krętych, wąskich schodach. Znów przez chwilę mignęło na dole jakieś światelko, tak jakby ćma zatrzepotała skrzydłami. To blask palącej się świecynic innego, tylko to. Takie migotliwe światło rzuca świeca, którą ktoś niesie ostrożnie w rękę. Ale skąd pada ten blask? Pewno spod schodów za zmywalnią, a może z kuchni? Z budzikiem przyciśniętym do piersi Dorota cichutko

schodziła po skrzypiących stopniach. Zdawało jej się, że słyszy jakieś westchnienia i szelesty w ciemnościach.

Gdy stanęła na zimnej, kamiennej podłodze zmywalni i zaczęła się wsłuchiwać, zorientowała się, że podobny szmer wydają tylko cichutko otwierane, obite zielonym filcem drzwi, wiodące z hallu do kuchni. Śpiesznie wbiegła do kuchni. Zaczęła po omacku szukać zapalek, które powinny być leżeć na brzegu płyty kuchennej. Wywróciła po ciemku solniczkę i zrzuciła na podłogę torbę ze szczapkami przeznaczonymi na rozpałkę. Spojrzała w dół i znów dostrzegła wążutki jak nitka paseczek światła. Zauważyła ten nikły blask, zanim zdążyła zaświecić zapalną, tak jakby robaczek świętojański błysnął na podłodze, prawie pod jej nogami; kształt miał podługowaty, widziała to wyraźnie.

Wystraszona, zapaliła gaz i w kuchni od razu zrobiło się widno. Przede wszystkim rzuciła okiem na obite filcem drzwi - zdawało jej się, że jeszcze się ruszają, jak gdyby ktoś pchnął je przed chwilą. Pobiegła i otworzyła je na oścież, ale na korytarzu i w hallu panowała ciemność żadnego światła, żadnych odgłosów. Zamknęła z powrotem drzwi. Skrzypnęły żaloznie, hamowane przez automatyczną sprężynę. I znów usłyszała jakiś dziwny szmer jakby tłumione westchnienie jakby wstrzymywany oddech, taki sam szmer, jaki usłyszała przedtem, gdy stała w zmywalni i nasłuchiwała. Ostrożnie, unosząc skraj spódnicy, podeszła do paleniska. Na podłodze, tuż obok nieco wybrzuszonej deski, leżał jakiś różowawy przedmiot. Ach, to właśnie spod tej deski - domyśliła się Dorota - błyskało to światelko! Po chwili zastanowienia rozejrzała się badawczo wokoło w pierwszej chwili wydało jej się, że w kuchni wszystko wygląda tak jak zawsze - talerze na kredensie, patelnie na ścianie, rząd ręczników wiszących symetrycznie na sznurku nad płytą. Gdy przyjrzała się bliżej owemu przedmiotowi, stwierdziła, że jest to pudełeczko w kształcie serduszka. Znała je dobrze - leżało zawsze za szybą w oszklonym stoliku na kółkach, stojącym w salonie obok kominka. Podniosła pudełeczko z podłogi; było kryte emalią i złotem i wysadzane małymi brylancikami. - A więc to tak... - syknęła Dorota pochyliwszy się i szybkim, gwałtownym ruchem kopnęła deskę wystającą z podłogi.

I nagle uderzyła w krzyk! Na miejscu deski powstała dziura i Dorota zobaczyła pod podłogą jakiś ruch coś biegło, trzepotało się, mrowiło. Usłyszała pisk, jazgot, sapanie. Jakieś maleńkie istotki... zupełnie podobne do ludzi; z rękami i z nogami, i... z szeroko otwartymi ustami! Jakieś ludki - ale przecież to nie mogą być prawdziwi ludzie!... Biegają to tu, to tam, spłoszone, przerażone... - Och! Och! Och! - krzyczała Dorota wniebogłosy wyciągnawszy rękę, wymacała za plecami krzesło.

Wskoczyła na nie, a gdy krzesło zatrzęsło się pod ciężarem jej ciała, wdrapała się wyżej, na stół kuchenny. Wydawało jej się, że całe wieki minęły, gdy tak stała na stole i darła się jak opętana, zanim wreszcie usłyszała jakiś rumor przy drzwiach od zmywalni. To biegł na pomoc ogrodnik Felicjan, którego zbudziły ze snu hałasy i światło w kuchni. - Co się stało? - wołał przez drzwi. - Wpuść mnie, Doroto! Ale gospodyni była zbyt przerażona, by mogła zeskoczyć ze stołu. - Gniazdo! Gniazdo! - krzyczała jak opętana. Żyją! Piszczą! Felicjan naparł całym ciężarem ciała na drzwi i zamek puścił. Wpadł do kuchni, rozczochrany, w welwetowych spodniach wciągniętych pośpiesznie na koszulę nocną.

- Gdzie? - zawołał, wytrzeszczając oczy. - Jakie gniazdo? Dorota, wystraszona, wrzeszcząca, wśródz i szlochów wskazała na podłogę. Felicjan przybliżył się powoli i ostrożnie spojrzął na dół. Zobaczył w podłodze jakąś dziurę, całą zatłoczoną miniaturowymi przedmiotami. Wyglądały na zabaweczki dla dzieci czy jakieś bezwartościowe drobiazgi. I czego się tu było tak przerażać? - Nic strasznego - powiedział do Doroty uspokajająco. - To pewno schowek tego chłopca. Ot, i cały sekret. Pogmerał nogą w dziurze. - Nie widzę tu żadnego żywego stworzenia - oświadczył.

- Ale ja widziałam, mówię ci, że widziałam! - krzyczała Dorota. - Jakieś małe człowieczki... miały ręce i nogi... A może to były tresowane myszy? Felicjan znów zajrzał do dziury pod podłogą.

- Tresowane myszy? - powtórzył niepewnie.

- Mnóstwo, może sto! - upierała się Dorota. - Biegały i piszczały. Widziałam na własne oczy, widziałam, mówię ci! - Ale teraz nie ma ani jednej - stwierdził Felicjan i raz jeszcze poruszył butem w dziurze. - No, to chyba rozbiegły się po całym domu! - wrzeszczała Dorota. - Są, na pewno są pod podłogą... Będą łązić po ścianach! Brr... Pełno ich wszędzie!

- Być może - rzekł Felicjan flegmatycznie. - Ale gdybyś mnie zapytała, tobym ci powiedział; że to nic innego, tylko ten mały chłopiec... ukrywa w tym schowku swoje rzeczy.

Felicjan przyklęknął na jedno kolano - i nagle uderzył się w czoło.

- Nie zdziwiłbym się, gdybym się dowiedział, że on tam trzyma tę swoją łasiczkę. - Felicjanie! - zawołała Dorota i w głosie jej brzmiała rozpacz. - Musisz mnie wysłuchać! To nie chłopiec i to nie łasiczka! Oparła się rękami o grzbiet krzesła i niezgrabnie zeszła ze stołu. Po chwili stanęła obok Felicjana, nad brzeżkiem

dziury w podłodze. - One miały ręce i twarze, mówię ci. Spójrz - powiedziała wskazując palcem. - Widzisz? To jest łóżko. I teraz przypominam sobie, że jedno z tych stworzeń leżało w łóżku. - Teraz dopiero przypominasz sobie... - rzekł Felicjan powątpiewająco. - Tak - odparła Dorota stanowczo. = I jeszcze coś przyszło mi na myśl... Pamiętasz tę dziewczynę, Różę Toporek? - Tę głupią?

- Głupia czy nie głupia, mniejsza o to, ale i ona wtedy w salonie... na kominku widziała takie coś... z brodą... - Takie co? - spytał Felicjan głupkowato.

Dorota rozgniewała się.

- Przecież mówiłam ci przed chwilą... takie... takie coś... no, jedno z tych... z tych...

- Tresowanych myszy? - spytał Felicjan.

- Nie, nie myszy! - wrzasnęła. - Myszy nie mają brody!

- Ale przecież mówiłaś... - zaczął Felicjan.

- Wiem, co mówiłam. Te tutejsze nie mają brody. Ale

jak ty je nazwiesz? Co to może być innego; jeśli nie myszy? - Uspokój się, nie wrzeszcz tak! - uciszał ją Felicjan. - Rozbudzisz cały dom. - Nikt nie słyszy - odparła Dorota. - Drzwi są obite filcem. Nagle zdecydowana nachyliła się i podniosła szczypce do węgła. - A co by było, gdyby nawet usłyszeli? Nie zrobiliśmy przecież nic złego! Odsuń się, ja sama zajrzę do tej dziury! I Dorota powyciągała szczypcami różne rzeczy, jedną po drugiej - wydając przy tym okrzyki zdumienia. Wszystkie składała na podłodze, sortując na dwa stosiki na jeden rzeczy nadające się do użytku, a na drugi te, które nazywała pogardliwie "śmieciami". Istotnie, były tam rzeczy najróżniejsze.

- Kto by to pomyślał... koronkowa chusteczka do nosa! Najładniejsza chusteczka naszej pani! A tu druga... i jeszcze jedna... i jeszcze jedna! I duża igła do szycia materaców - pamiętam taką - i mój srebrny napaśtek, kto by to pomyślał, i drugi, naszej pani. O, patrz, to moje... moja bawełna, moje nici!... Nic dziwnego, że nie mogłam nigdy znaleźć kłębka białej bawełny, kiedy była mi potrzebna! Orzechy... Kartofle... Zobacz, pudełko po kawiorze - kawior! No, tego już naprawdę za wiele! Krzeselka dla lalek... stoliczki...

Spójrz, ile tu bibuły! Nareszcie wyjaśniło się, dlaczego bibuła stale gdzieś znika! O mój Boże! - krzyknęła nagle, wytrzeszczając oczy. - A to... co to jest? Odłożyła szczypce i pochyliła się nad dziurą, ostrożnie i bojaźliwie, jak gdyby obawiała się, że jakaś osaja użądli. - Zegarek - zegarek ze szmaragdami - zegarek naszej pani! A ona nawet nie zauważyła, że zginął!

I po chwili dodała, już nieco ciszej

- Chodzi! Spójrz, porównaj z zegarkiem w kuchni!

Dwadzieścia pięć po dwunastej!

I nagle opadła na krzesło. Oczy miała szeroko otwarte,

a twarz jej zbieleła i zwiótzała jak balon, z którego wypuszczono powietrze. - Wiesz, co to znaczy? - zapytała trzęsącymi się wargami. - Nie, nie wiem - odpowiedział Felicjan otwarcie.

- Policja !. . . Trzeba tę sprawę oddać w ręce policji. . . Rozumiesz?

## ROZDZIAŁ OSIEMNASTY

Chłopiec leżał w łóżku i szczękał zębami pod kołdrą. Śrubokręt miał schowany pod materacem. Usłyszał dzwonek budzika. Usłyszał również krzyk Doroty na schodach i postanowił zobaczyć, co się tam dzieje. Świeca na jego nocnej szafce wydawała lekki śwąd i воск musiał być jeszcze ciepły. Leżał w łóżku i czekał, ale nikt nie wchodził na pierwsze piętro. Po pewnym czasie - zdawało mu się, że minęło już parę godzin - usłyszał bicie zegara w hallu. Wysunął się z łóżka i cichutko przekradł na korytarz, a stamtąd na klatkę schodową. Zatrzymał się na podeście schodów i drżąc cały, przechylił się przez poręcz. W hallu było ciemno i cicho, jeśli nie liczyć ustawicznego tykania zegara i dobrze znanych szelestów, które brzmiały jak oddech tego domu wzdychanie zmęczonej podłogi lub postękiwanie zsychającego się drzewa. Taka tu była cisza i spokój; że Chłopiec zdobył się w końcu na odwagę, zszedł ze schodów i na palcach przesunął się przez korytarzyk w stronę kuchni. Nasłuchiwał przez chwilę pod obitymi drzwiami, aż wreszcie pchnął je ostrożnie. W kuchni panował szarawy półmrok. Poszukał po omacku - tak samo jak to robiła przedtem Dorota - zapalek na skraju płyty i zapalił. W blasku zapalniczki zauważył od razu otwartą dziurę w podłodze i różne przedmioty porzucane dokoła niej, a jednocześnie spostrzegł świecę, stojącą na półce. Ręce mu się trzęsły, gdy zapalał świecę. Tak, to, co znajdowało się dawniej w małym domku, leżało tu porzucane w nieładzie, a obok na podłodze - szczypce do węgla. Dorota zabrała wszystko, co według niej miało jakąkolwiek wartość, i pozostawiła same "śmieci". I rzeczywiście, te wszystkie kłębuszki wełny, stare kartofle, połamane mebelki dla lalek, pudełko od zapalek, pasemka bawełny, zmięte kawałki bibuły do atramentu były już tylko śmieci. Chłopiec ukląkł na podłodze. Domek został obrócony w ruinę, przegródki obalone, tu i ówdzie czerniały grudki ziemi (Strączek okopał ściany ziemią, żeby domek miał mocniejsze oparcie), wszędzie widać było także kawałeczki zapalek, łupiny od cebuli, porzucane koreczki od butelek, a także stare kółko zębate... Chłopiec stał, mrugając oczyma, a z przechylonej świecy w jego drżącej ręce воск kapął wielkimi kroplami na podłogę. W końcu podniósł się z kolan, przeszedł na palcach przez kuchnię i zamknął drzwi od zmywalni. Wrócił, pochylił się nad dziurą w podłodze i zawołał ścisłym głosem - Arietto !. . . Arietto !. . . Po chwili zaczął wołać znowu. Poczuł, że coś gorącego kapnęło na jego dłoń była to łza. Otarł ją gniewnie i pochylając się jeszcze niżej zawołał nieco głośniejszym szeptem - Strączku!... Strączku!.. Na jego wołanie zjawili się oboje, ale w drżącym blasku świecy Chłopiec nie zauważył ich w pierwszej chwili. Stali w milczeniu, z pobladłymi twarzami, w miejscu, które niegdyś było korytarzykiem pomiędzy spiżarnią a bawialnią, i patrzyli na niego. - Gdzieście byli? - zapytał Chłopiec. Strączek odchrząknął, zanim odpowiedział - Tam, na końcu korytarza. Pod samym zegarem. - Chcę pomóc wam wyjść stąd - rzekł Chłopiec. - Dokąd? - zapytał Strączek. - Nie wiem jeszcze. Co byście myśleli o strychu? - Nie, to nie będzie dobra kryjówka - rzekł Strączek. - Słyszałem, co oni mówili. Mają zamiar sprowadzić policję i inspektora sanitarnego, i szczurołapę, i przynieść kota... Zapanowało głucho milczenie. Oczy małych ludków



wpatrywały się w oczy dużego Człowieka.

- W tym domu już teraz nigdzie nie będzie bezpiecznie - odezwał się w końcu Strączek. Znow zapanało milczenie.

- A co byście myśleli o domku dla lalek na górnej półce w pokoju szkolnym? - zaproponował Chłopiec. - To jest tak wysoko, że tam się nawet kot nie dostanie.

Dominika jęknęła cicho.

- To byłoby dobre... domek dla lalek - wyraziła swą zgodę.

- Nie - zaproponował Strączek, tak samo bezdźwięcznym głosem, jak przedtem. - Wysoko na półce niepodobna się urządzić. Możliwe, że kot się tam nie wdrapie, ale stamtąd nie będzie można zejść. Tak jakby się było przyklejonym raz na zawsze. I wody nie ma, a przecież bez wody niepodobna żyć. - Ja będę przynosił wam wodę - rzekł Chłopiec i dotknął ręką kupki "śmieci". - A tu jeszcze są wasze łóżka i inne rzeczy.

- Nie - rzekł Strączek. - Na półce nie będzie dobrze.

Poza tym ty wyjeżdżasz wkrótce, tak przynajmniej mówili.

- Och, Strączku - szepnęła Dominika błagalnie, przecież w tym domku dla lalek są schody i dwie sypialnie, i jadalnia, i kuchnia. I łazienka - dodała. - Ale ten domek stoi wysoko, pod samym sufitem, wyjaśniał Strączek zmęczonym głosem. - A jeść musisz, prawda? I pić także?

- Tak, wiem, mój drogi ale...

- Tu nie ma żadnego "ale" - rzekł Strączek i nabrał głębokiego tchu w piersi, zanim oświadczył stanowczo - Nie ma rady, musimy stąd wyemigrować. - Och!

- jęknęła Dominika cicho

Arietta zaczęła płakać.

- Nie przerażajcie się tak - rzekł Strączek znużonym głosem. Arietta ukryła twarz w dłoniach i łzy pociekły jej między palcami. - Nie jestem przerażona - wykrztusiła. - Jestem taka szczęśliwa...

Szczęśliwa... - Myślisz - rzekł Chłopiec do Strączka - jednym okiem zerkając na Ariettę - że przeprowadzicie się do nory borsuka?

I on także czuł rosnące zdenerwowanie. .

- A gdzieżby indziej? - spytał Strączek.

- O Boże! jęknęła znow Dominika i usiadła na złamanej komodzie z pudełek od zapalek. - Ale musicie wyjść stąd jeszcze tej nocy - rzekł

Chłopiec. - Musicie uciekać, zanim się rozwidni.

- O Boże! ~ jęknęła znow Dominika.

- Tak, racja - rzekł Strączek. - Ale jak tu przejść przez pole po nocy?. Już w dzień jest dość trudno, a cóż dopiero w nocy... - Już wiem, co zrobimy! - zawołała Arietta.

Jej zalana łzami, rozpalona i drżąca twarzyczka błysnęła w świetle świecy. Rozpostarła ręce jak skrzydła do lotu i zakołysała się na koniuszkach palców.

- Chodźmy do domku dla lalek tylko na dzisiejszą noc i na jutrzejszy dzień - powiedziała i przymknęła oczy, jakby olśniona tą wizją. - A jutro Chłopiec zabierze nas stąd, zabierze nas stąd...

Zabierze, ale dokąd? Tego nie wiedziała.

- Zabierze nas? - zapytała Dominika i głos jej się dziwnie załamał. - Ale jak, w jaki sposób?

- Wsadzi nas do kieszeni - rzekła Arietta śpiwnie. Może nie chcecie? I znow wspięła się na palce jak do lotu, ze zwróconą ku

górze rozjaśnioną twarzyczką.

- Dobrze - zgodził się Chłopiec. - A potem przeniosę wasz bagaż w koszyku.

- O Boże! - jęknęła znow Dominika.

- Pozbieram wszystkie wasze meble z tej.. kupki.

Albo przynajmniej część, te, co najpotrzebniejsze. I przyniosę wam wszystko, czego będzie wam trzeba. - Herbaty - szepnęła Dominika. - Chciałabym mieć tyle herbaty, żeby starczyło nam do końca życia.

- Dobrze - rzekł Chłopiec. - Przyniosę wam cały funt herbaty. I kawy także jeśli lubicie kawę. I garneczki do gotowania. I zapalki. Będzie wam bardzo dobrze, zobaczycie! - Ale co będziemy jeść? - zaniepokoiła się Dominika. - Gąsienice? - Uspokój się, Dominiko - rzekł Strączek. - Nie mów głupstw! Lucy była zawsze dobrą gospodynią.

- Ale przecież Lucy tam nie ma - odparła Dominika. - Jagody... Czy oni jedzą jagody I Jak oni tam gotują? Pod gołym niebem? - Moja droga - rzekł Strączek - zobaczmy już na miejscu. - Nie umiem rozpalać ogniska - martwiła się Dominika. - A co ja zrobię, jak będzie wiatr? Albo deszcz? Jak oni gotują, kiedy pada deszcz?

- Słuchaj, Dominiko Strączek zaczął już tracić cierpliwość, ale Dominika nie pozwoliła sobie przerwać. - Czy mógłbyś przynieść nam parę pudełek sardynek? - zwróciła się do Chłopca. - I trochę soli? I kilka świec? I zapalki? I czy mógłbyś wziąć dywanik z domku dla lalek? - Oczywiście - odrzekł Chłopiec. - Mogę przynieść wszystko, co będziecie chcieli. - To doskonale! - rzekła Dominika.

Wyglądała wciąż jeszcze jak szalona - po trosze dlatego, że włosy jej się rozkręciły i rozsypały na ramiona. Ale jednak uspokoiła się nieco.

- W jaki sposób zamierzasz przeprowadzić nas na górę, do pokoju szkolnego? Chłopiec uświadomił sobie w tej chwili, że jest w koszuli nocnej, pozbawionej kieszeni. Zniosę was - odparł. - W jaki sposób? - dopytywała się Dominika. W ręku?

- Tak - odparł Chłopiec.

- Raczej śmierć! - zawołała Dominika. - Wolę już zostać tutaj, niech mnie pożre ten szczurolap! Chłopiec rozejrzał się po kuchni. Był kompletnie oszołomiony. - Może przenieść was w torbie na zakupy? - zapytał w końcu, gdyż zauważył torbę, wiszącą na swym zwykłym miejscu, na drzwiach od zmywalni.

- Dobrze - zgodziła się Dominika. - Tylko wytrząśnij ją wpierw. Gdy rozłożył torbę na podłodze, Dominika weszła pierwsza, nawet dość odważnie. Torba była miękka i luźna, spleciona z rafii. Ale kiedy Chłopiec podniósł ją, Dominika wrzasnęła i uczepliła się Strączką.

- Och! - stęknęła, gdy torba zakołysała się trochę. Och, nie mogę! Puść mnie! Puść! Och! Och! I szukając oparcia, i ześlizgując się z boków torby, zderzyła się ze Strączkiem na jej dnie.

- Uspokój się, Dominiko! - zawołał Strączek ze złością i przytrzymał ją mocno za kostkę u nogi. Niełatwo mu było kontrolować jej ruchy, gdyż sam leżał na plecach, tak zgięty, że twarzą opierał się o pierś, a jedną nogę miał gdzieś wysoko ponad głową. Arietta wspierała się po supelkach jak po rusztowaniu i patrzyła na nich z góry, z samego brzeźka torby.

- Och, nie mogę! Nie mogę! - krzyczała Dominika. Strączku, ratuj! Umieram! Powiedz mu, żeby nas wypuścił! - Postaw nas na podłodze - poprosił Strączek z właściwym sobie spokojem i cierpliwością. - Tylko na chwilę. O, tak, teraz dobrze.

I w momencie, gdy torba znalazła się znów na podłodze, wybiegli z niej wszyscy troje.

- Widzisz - rzekł Chłopiec, bliski płaczu - chciałaś przecież spróbować.

Próba się udała - rzekł Strączek. - Pozwól jej chwilę odetchnąć i podnieś jeszcze raz torbę, ale łagodniej. Rozumiesz, co chcę przez to powiedzieć. - Dobrze - zgodził się Chłopiec. - Ale nie mamy tak dużo czasu. Chodźcie! - przynaglał ich. - Wskakujcie do torby! Hop! - Uwaga! - zawołał Strączek i zamarł w bezruchu.

Chłopiec spojrział w dół i zobaczył trzy obrócone ku niemu twarzyczki - zastygłe z przerażenia, skamieniałe, tuż nad ciemną, pustą dziurą w podłodze. I nagle, w mgnieniu oka wszystkie trzy znikły - podłoga opustoszała, a dziura ziała ciemnością. Chłopiec przykucnął i zaczął przywoływać rozpaczliwie szeptem

- Strączku! Dominiko! Wracajcie!

Ale w chwilę później on także znieruchomiał, zastygł, zlodowaciał, nachylony nad otworem w podłodze. Drzwi od zmywalni za jego plecami skrzypnęły - i otworzyły się... Do kuchni weszła Dorota. Stała w milczeniu. Była

tylko w nocnej koszuli. Chłopiec odwrócił się i spojrział na nią. - Dobry wieczór - powiedział dość niepewnie, po dłuższej chwili.

Dorota nie uśmiechnęła się. W jej oczach pojawił się na krótko błysk złośliwej satysfakcji. Trzymała w ręku świecę, której światło padało z góry na jej twarz, wyraźnie oddzielając blaski i cienie. - Co ty tu robisz? - zapytała.

Chłopiec podniósł głowę, ale nic nie odpowiedział.

- Odpowiadaj! - rzekła Dorota rozkazująco. - Co tu robisz z moją torbą na zakupy?

Chłopiec wciąż patrzył na nią, jakby trochę ogłupiały.

- Z torbą na zakupy powtórzył i popatrzył na torbę tak, jakby sam się dziwił, skąd się wzięła w jego ręku. - Nic - odparł po chwili.

- Czyś to ty włożył zegarek do dziury pod podłogą?

- Nie - odrzekł. - Już tam był.

- Ach, tak! - zawołała Dorota i uśmiechnęła się. A więc ty wiesz, że tam był? - Nie - zająknął się Chłopiec.

- To jest, tak...

- Wiesz, kim ty jesteś? - zapytała Dorota, patrząc mu prosto w oczy. - Jesteś tchórzliwym, wstrętnym, małym nicponiem! Usta Chłopca zadrżały.

- Dlaczego? - zapytał.

- Sam wiesz dobrze, dlaczego. Jesteś niegodziwym, podłym, małym złodziejaszkiem! Tak, tym właśnie jesteś! I one są takie same. Te obrzydliwe, przebiegłe, nędzne, skrzekliwe...

- Nieprawda! - zaprotestował Chłopiec gorąco.

- A ty jesteś z nimi w zмовie!

Podeszła do niego, szarpnęła go mocno za ramię.

- Wiesz, co się robi ze złodziejami? - zapytała.

- Nie - odrzekł zmieszany.

- Zamyka się ich pod kluczem! To się robi ze złodziejami! I taki los ciebie także czeka! - Ja nie jestem złodziejem! - zawołał Chłopiec i wargi mu zadęgotwały. - Ja jestem Pożyczalski. - Co takiego?

Potrząsnęła nim, zaciskając jeszcze mocniej rękę na jego ramieniu. - Pożyczalski - powtórzył Chłopiec.

W oczach stanęły mu łzy. Miał nadzieję, że nie potoczą się po policzkach. - A więc ty tak to nazywasz?! - zawołała Dorota.

Chłopcu przypomniało się, że i on kiedyś zapytał w ten sam sposób Ariettę. Ale kiedy to było? . Jakże dawno! - Tak się nazywają - wyjaśnił. - Domowe ludki...

takie jak oni... to są właśnie Pożyczalscy.

- Pożyczalscy... a to dobre! - i Dorota parsknęła

śmiechem. - Nic innego nie robili w tym domu, tylko pożyczali! I mówiąc to, zaczęła popychać Chłopca w stronę drzwi.

Łzy zawisły na jego rzęsach i potoczyły się po policzkach. - Nie rób im krzywdy! - prosił błagalnie. - Oni

się wyprowadzą. Ja im pomogę. Wiem już jak. Przrzekam! . . Dorota znów się zaśmiała i wypchnęła Chłopca przez obite filcem drzwi do hallu.

- Tak, wyprowadzą się, na pewno! - mówiła. - Możesz się o to nie martwić. Szczurołap już będzie wiedział, co z nimi zrobić. I stary kot Felicjana także będzie wiedział. I inspektor sanitarny również. I straż ogniowa jeśli będzie trzeba ją wezwać. I policja także będzie wiedziała, i wcale nie będzie się długo zastanawiała. Nie, nie musisz się martwić o to, w jaki sposób oni się stąd wyniosą. Jak się już znalazło ich gniazdo - zniżyła głos do gniewnego szeptu, gdyż przechodzili właśnie obok pokoju pani Zofiireszta - to już bagatela! Wepchnęła Chłopca do pokoju szkolnego i zamknęła za nim drzwi na klucz. Słyszał, jak podłoga skrzypiała pod jej ciężkimi krokami, gdy zadowolona ze swego dzieła, wracała do kuchni. Chłopiec poczuł, że mu zimno, wsunął się więc pod kołdrę i z głową wtuloną w poduszkę płakał długo i gorzko.

## ROZDZIAŁ DZIEWIĘTNASTY

właściwie - rzekła pani May, odkładając szydełkową robótkę - to już koniec.

Kasia podniosła na nią oczy.

- Och, niemożliwe! - wyszeptała. - Och, proszę pani... proszę bardzo...

- Ostatni kwadrat - rzekła pani May, rozkładając robótkę na kolanach. - Sto pięćdziesiąty. Teraz zoba czymy, jak to wygląda w całości... - O! - zawołała Kasia. - Pani mówiła o kołdrze, a ja myślałam, że pani mówi o tej historii. - Ta historia jest także skończona - rzekła pani

May w zamyśleniu, dopasowując jeden do drugiego szydełkowane kwadraty. Ale przecież... - wyjąkała Kasia - tak nie można... Myślałam, że... I w ciągu jednej chwili Kasia zmieniła się w dziką, na dąsaną dziewczynkę o chmurnych oczach. - To nieładnie! - krzyknęła. - To oszukaństwo! To...

Łzy trysnęły jej z oczu. Rzuciła swoją robótkę na stół, cisnęła igłę do cerowania i kopnęła woreczek z włóczką, leżący obok niej na dywanie. - Dlaczego tak sądzisz, Kasiu? - zapytała pani May, nie ukrywając zdziwienia.

- Przecież musiało się coś jeszcze dziać później! krzyczała Kasia rozzłoszczona. - Czy Dorota zawołała szczeniaka? I czy przyszedł policjant? I czy?...

- Działo się jeszcze wiele innych rzeczy - rzekła pani May. - Mnóstwo rozmaitych rzeczy. Zaraz ci to wszystko opowiem.

- Dlaczego więc powiedziała pani, że to już koniec tej historii?

- Dlatego - odparła pani May z wolna - że Chłopiec nie zobaczył ich już nigdy więcej.

- A więc jak to możliwe, że działo się potem jeszcze wiele innych rzeczy?

- A jednak tak było - odrzekła pani May.

Kasia spojrzała na nią błagalnie.

- Niech mi pani wszystko opowie!

Z kolei pani May popatrzyła na nią uważnie.

- Moje dziecko - rzekła po chwili - takie historie, jak ta, nigdy właściwie się nie kończą. Mogą się ciągnąć i ciągnąć bez końca. Tylko osoba, która je opowiada, przerywa w pewnym miejscu...

- I to w takim miejscu! - zawołała Kasia z wyrzutem.

- Nawlecz igłę, Kasiu - rzekła pani May - weź teraz szarą włóczkę. Zabierzemy się do zszywania tych kwadratów. Ja zacznę od góry, a ty rozpocznij od dołu. Najpierw szary kwadrat, potem zielony, potem różowy i dalej w tej samej kolejności...

- Ale pani nie myślała tego poważnie, mówiąc, że Chłopiec nie zobaczył ich już nigdy więcej? - powróciła

Kasia do poprzedniego tematu, zirytowana, że pogniecione pasemko włóczki nie chciało przejść przez wąskie uszko igły.

- Ależ tak, myślałam to poważnie - odparła pani

May. - Zaraz ci opowiem, co się potem stało. Chłopiec

musiał nagle wyjechać - w trzy dni później, pod koniec

tygodnia - gdyż właśnie odbijał okręt do Indii i wyjeżdżali znajomi, którzy mieli zabrać go z sobą. A przez cały czas przed wyjazdem Dorota trzymała go pod kluczem, w dzieciennym pokoju, na pierwszym piętrze.

- przez całe trzy dni! - zawołała Kasia z oburzeniem.

- Tak. Dorota powiedziała ciotce Zofii, że Chłopiec jest przeziębiony i dlatego nie wychodzi ze swego pokoju. Nie dokuczała mu już teraz, ale postanowiła, rozumiesz, by sam zobaczył, w jaki sposób Pożyczalscy zostaną "wykurzeni". - I zrobiła to wszystko, co zapowiedziała? - zapytała

Kasia, bardzo przejęta. - Naprawdę sprowadziła policję?  
I szczurołapa? I...

- Nie, inspektor sanitarny nie przyszedł. Przynajmniej do czasu, dopóki mój brat nie wyjechał. Ale szczurołapa Dorota zawołała. I policjanta także - pani May roześmiała się. - W ciągu tych trzech dni Dorota informowała mego brata stale o tym, co się dzieje na dole. Bardzo lubiła gadać, a brat, pozbawiony swobody ruchu, zamknięty w swoim pokoju, przyjmował wszystko do wiadomości na pozór obojętnie. Dorota przynosiła mu jedzenie do pokoju i już pierwszego dnia rano, podając mu śniadanie, przyniosła na tacy maleńkie mebelki i kazała mu wspiąć się na najwyższą półkę i poustawiać je z powrotem w domku dla lalek. Wtedy dopiero powiedziała mu o tym policjancie. Podobno była taka wściekła, że Chłopcowi aż prawie zrobiło jej się żal.

- Dlaczego? - spytała Kasia.

- Bo okazało się, że ten policjant to Ernest Pałeczka, chłopak, którego nieraz przepędzała, bo podkraść jej najładniejsze malinowe jabłka z drzewa tuż nad parkanem. Nazywała go małym nicponiem, niegodziwym złodziejaskiem. "Rozsiadł się w kuchni - mówiła o Ernieście - rozłożył swój notes i śmieje się do rozpuku. Dwadzieścia jeden lat ma już teraz, a nosa zadziera, aroganckie to, bezczelne, że opowiedzieć się nie da..."

- Czy on rzeczywiście - zapytała Kasia i oczy jej się zaokrągliły - był takim niegodziwym nicponiem?...

- Ale skądże! Bynajmniej! Ernest Pałeczka to był porządny, odpowiedzialny chłopiec, cieszący się pełnym zaufaniem w policji. I wcale nie śmiał się z Doroty, tylko popatrzył na nią bardzo dziwnie - tak to później opowiadał Felicjan - gdy opisywała mu dokładnie, jak wyglądała Dominika, gdy leżała w łóżeczku dla lalek. "Trzeba było dolać więcej wody" - zdawało się mówić jego spojrzenie. - Wody? - zapytała Kasia zdziwiona. - Do czego?

- Ano, chyba do tej madery - odparła pani May. I ciotka Zofia miała podobne podejrzenia była bardzo zła, słysząc, że Dorota widziała cały tłum małych ludków, gdy ona sama, przy pełnej karafce, widziała za ledwie jednego lub co najwyżej dwoje. Kazała Felicjanowi przynieść z piwnicy wszystkie skrzynki z maderą i ustawić je pod ścianą w rogu swego pokoju, naprzeciwko łóżka, tak żeby mogła, jak mówiła, mieć je stale na oku.

- A czy sprowadzono kota? - zapytała Kasia.

- Tak, sprowadzono. Ale i z niego nie było wielkiej pociechy. Należał do ogrodnika Felicjana - wielki, żółty kocur, biało pręgowany. Zdaniem Doroty, myślał tylko o jednym z dwojga albo jak drapnąć z domu, albo jak zakraść się do spiżarni. "Mówi się o Pożyczalskich - mamrotała do siebie Dorota, siekając rybę na pulpety, które przygotowywała na obiad dla mego brata - a chyba nie ma na całym świecie większego Pożyczalskiego niż ten kot! Pożyzył sobie ogromny kawał surowej ryby i do tego jeszcze wyżłopał dobre pół spodka sosu majonezowego!" Kot jednak niedługo zabawił w domu. Foksteriery szczurołapa zaczęły od tego, że przepędziły żółtego kota. Brat mi opowiadał, że psy omal go nie zagryzły. Goniły go wszędzie - po schodach na górę i na dół, z pokoju do pokoju, i ujadły przy tym, ile im sił starczyło. Ostatni raz brat mój widział kota, jak śmignął przez zarośla i pognął polem na przełaj, a psy za nim. - I złapały go w końcu?

- Nie, nie złapały - odpowiedziała pani May śmiejąc

się. - Zastałam go tu, na tym samym miejscu, gdy przyjechałam następnego roku. Był trochę osowiały, ale w doskonałej kondycji. - Niech mi pani opowie, jak to było, kiedy pani przyjechała. - O, nie przyjechałam na długo - odrzekła pani May

dość śpiesznie. - A potem dom został sprzedany. Mój brat już nigdy tam nie wrócił.

Kasia spojrzała na panią May z niedowierzaniem, przyciskając igłę do dolnej wargi. - Tak, że w końcu nie złapano tych małych ludków? zapytała po chwili. Pani May jak gdyby unikała jej wzroku.

- Właściwie... nie złapano ich nigdy... Chociaż... wahała się chwilę, zanim odpowiedziała - jeśli chodzi o mego biednego braciszka, to wyrządzono mu wielką krzywdę.

- Jaką krzywdę?

Pani May odłożyła robótkę i popatrzyła przez dłuższą chwilę w zamyśleniu na swoje ręce.

- Nienawidziłam tego szczurołapa - oświadczyła nagle.

- A czy pani знаła go osobiście?

- Wszyscy znali go w naszej okolicy. Miał bielmo na oku i nazywali go Ślepym Jankiem. W razie potrzeby zabijał świnię - robił także dużo innych rzeczy - miał fuzję, toporek, łopatę, kilof i aparat do sporządzania świec dymnych... Nie wiem sama, z czego właściwie powstawał ten dym - były to jakieś trujące opary z ziół i chemikaliów. Pamiętam tylko zapach tego dymu snującego się po ziemi. Wyobrażasz sobie, jak poczuł się mój brat na trzeci dzień - tego dnia, kiedy miał wyjeżdżać - gdy nagle uderzył go ten zapach dymu...

Był już ubrany i gotów do wyjścia. Jego walizki zostały zapakowane i zniesione do hallu. Przyszła Dorota, wypuściła więźnia i zaprowadziła go do ciotki Zofii. W palcie i w rękawiczkach stanął obok jej osłoniętego kotarą łóżka. Był tak błydy, że ciotka Zofia, wychylając się z łóżka, zapytała żartobliwie

- Źle się czujesz? Choroba morska... już na lądzie?

- Nie - odparł Chłopiec. - Tylko ten dym.

Ciotka Zofia pociągnęła nosem.

- Co to za dym, Doroto?

- Szczurołap, proszę pani - odrzekła Dorota czerwieniąc się. - Jest na dole w kuchni. - Co takiego? -

wykrzyknęła ciotka Zofia. - Chcecie

je wykurzyć dymem? - I wybuchnęła śmiechem. O Boże! Boże! - śmiała się. - Ale jeśli one ci się nie podobają, Doroto, to przecież mogłabyś znaleźć prostszy sposób. - Jaki sposób, proszę pani? - zapytała Dorota.

Ciotka Zofia, śmiejąc się aż do łez, pomachała ręką stojącą w pierścieniu.

- Trzymaj butelkę dobrze zakorkowaną! - poradziła w końcu. Jeszcze na schodach słyhać było jej głośny śmiech.

- Pani nie chce wierzyć, że one istnieją - mruczała

na pół do siebie Dorota i mocniej zacisnęła rękę na ramieniu Chłopca. - Ale zmieni zdanie, jak jej później przyniosę. . . I bezceremonialnie pociągnęła za sobą Chłopca do hallu.

Zegar został odsunięty ze zwykłego miejsca, tak że

widać było boazerię, a dziurę w podłodze, jak to brat mój zauważył od razu, zatkano i zalepiono. Drzwi frontowe stały otwarte na oścież, jak zwykle, i wpadało przez nie

słońce. Walizki, postawione tuż obok maty, grzały się

w złocistym blasku słońca. Drzewa owocowe osypywały

płatki na ziemię i świeciły jasną zielenią, delikatną i przejrzystą w blasku słońca. - Mamy jeszcze

mnóstwo czasu - rzekła Dorota,

spoglądając na zegar. - Powóz przyjedzie nie wcześniej

niż o wpół do trzeciej.

- Zegar stoi - rzekł Chłopiec.

Dorota odwróciła się. Była już w kapeluszu i w swym odświętnym czarnym palcie - zamierzała odwiedzić Chłopca na stację. W tym obcisłym palcie wyglądała jakoś dziwnie i uroczyście - wcale nie jak Dorota.

- Rzeczywiście, stoi - stwierdziła.

Jej dolna szczęka opadła, a policzki zrobiły się ciężkie i obwisłe. - Trzeba go będzie nakręcić - zdecydowała po

chwili. - Wszystko będzie w porządku, jak przesuniemy

go na poprzednie miejsce. Pan Ludwik przyjdzie w poniedziałek i wyreguluje zegar - i mówiąc to, pociągnęła Chłopca za rękaw, powyżej łokcia.

- Gdzie mamy iść? - zapytał Chłopiec, próbując stawiać jej opór.

Idziemy do kuchni. Mamy jeszcze dobre dziesięć

minut czasu. Nie chcesz zobaczyć, jak się będzie je łapało? - Nie! - zawołał Chłopiec. - Nie!

I szarpnął się mocno, chcąc się jej wyrwać.

Dorota spojrzała na niego i uśmiechnęła się.

- A ja chcę - oświadczyła. - Chciałabym zobaczyć

je z bliska. Już on je wykurzy z tej dziury! Tak jak to robi ze szczurami. Ale najpierw, powiedział, trzeba pozatykać wszystkie wyjścia...

I oczy jej skierowały się w stronę otworu pod boazerią.

- Jakim sposobem znaleziono ten otwór? - zapytał

Chłopiec (wyjście z dziury pod boazerią wyglądało jak zakitowane i zalepione było prostokątem brązowego papieru).

- Ślepy Janek już to potrafi. Stale się tym zajmuje.

Dorota wybuchnęła śmiechem - tym razem nawet życzliwym.

- No pewnie, że się nie wydostaną! Nie będą mogły, nie, nie! Dziurę zalano cementem, będzie trzymał mocno.

Cała bryła cementu tkwi w środku, zabezpieczona od spodu arkuszem blachy - a tę blachę wzięło się z dachu starej cieplarni. Felicjan i Ślepy Janek pracowali całe wtorkowe popołudnie. Raz trzeba z tym zrobić koniec.

Dość już tych wybryków! A zegara nie wolno ruszać w pośpiechu. Nawet jak się ma więcej czasu, też go lepiej nie ruszać. Włdysz, jak wygląda podłoga w tym miejscu, gdzie stał? I wtedy właśnie brat mój zobaczył - po raz pierwszy

i ostatni w swym życiu - nieco wygórowaną, jaśniejszą płytę kamiennej podłogi, nie szorowaną od lat. -

Chodźmy do kuchni - powiedziała znów Dorota

i wzięła go za rękę. - Tam też usłyszymy, jak powóz będzie nadjeżdżał.

Lecz w kuchni, do której Dorota wciągnęła Chłopca, panował taki hałas, że nikt by nie usłyszał turkotu kół.

- Leżeć, leżeć, leżeć, leżeć! - powtarzał Felicjan

głośno, trzymając na smyczy foksteriery szczurołapa, które wyrwały się dysząc i poszczekując. W kuchni znajdował się również Ernest Pałeczka, policjant. Przyszedł tu najzupełniej bezinteresownie i stał nieco na uboczu (szanował się ze względu na piastowany przez siebie urząd), w hełmie zsuniętym z czoła, z filiżanką herbaty w ręku. Ślepy Janek szczurołap przykucnął na podłodze tuż przy dziurze. Zapalił coś tajemniczego,

ukrytego pod kawałkiem starego worka, a gdy się zatliło, buchnął okropny zapach i rozszedł się po całej kuchni. Teraz szczurołap zaczął dąć w miechy - pochylony, skupiony, napięty. Brat mój stał i patrzył na to



wszystko jak we śnie ("Może to był naprawdę tylko sen" - powiedział mi później, w wiele lat później, gdy oboje byliśmy już dorośli). Rozejrzał się po kuchni. Za oknem widział drzewa owocowe zalane słońcem i gałąź wiśni zwisającą nad nasypem; widział na stole w kuchni trzy puste filiżanki po herbacie, z łyżeczkami w środku, jedna z nich nie miała spodka. Zauważył również, że wszystkie rzeczy szczurołapa leżą

pod ścianą, w pobliżu obitych filcem drzwi do hallu jego mocno przetarte palto upakowane gliną, sterczące z zawiniątka sidła na króliki, łopata, fuzja, kilof... - A teraz uwaga! - zawołał Ślepy Janek.

W głosie jego zabrzmiała nutka podniecenia, ale wciąż jeszcze nie odwracał głowy.

- Uwaga! Psy trzymać w pogotowiu i na dany znak spuścić ze smyczy!

Dorota zostawiła Chłopca i przysunęła się bliżej dziury w podłodze. - Proszę się nie przybliżać - rzekł szczurołap, wciąż

jeszcze nie odwracając się. - Muszę mieć dużo wolnego miejsca. I Dorota cofnęła się w stronę stołu.

Odsunęła krzesło

i mimowolnym, nerwowym ruchem uniosła nieco jedną

nogę, ale gdy pochwyciła kpiące spojrzenie Ernesta, od razu ją opuściła. - Niech się pani nie boi - rzekł Ernest i jedna jego

brewna drgnęła ironicznie. - Powiemy pani, kiedy trzeba będzie podnieść nogę... jak przyjdzie czas!

Dorota rzuciła na niego spojrzenie pełne wściekłości. Zabrała trzy filiżanki stojące na stole i poczłapała, gniewnie szurając nogami, w stronę zmywalni. - Wykadają ich chyba tym dymem w końcu - mamrotała do siebie. Słowa te usłyszał Chłopiec, gdy przechodziła obok niego. I nagle jakby wstąpił w niego nowy duch. Rozejrzał się szybko po kuchni. Ogrodnik i policjant

zaabsorbowani byli tym, co robił szczurołap, on zaś trwał w tej samej pozycji na podłodze i nie odwracał głowy. Szybkim, ukradkowym ruchem brat mój ściągnął rękawiczki. I teraz cichutko... cichutko... na palcach ruszył w stronę obitych filcem drzwi. Nie spuszczał z oka grupy obok. Nad dziurą w podłodze. Zatrzymał się na chwilę. Ostrożnie, po omacku wyciągnął rękę. Palce jego chwyciły drewniany trzonek wygładzony od częstego używania. Rzucił szybko okiem w dół, ażeby się przekonać czy tego właśnie chciał czy dobrze wybrał. Tak, to był kilof. Cofnął się troszeczkę w tył. Pchnął ramieniem - prawie niepostrzeżenie - drzwi. Otworzyły się bezszelestnie. Żaden z mężczyzn nawet nie spojrzał na niego.

- Teraz uwaga! - znów rzucił szczurołap, odrywając się na chwilę od miechów. - Za chwilę dym wpadnie do środka... a tam pod podłogą nie ma wentylacji. Chłopiec przecisnął się przez uchylone drzwi

, a one zamknęły się za nim tak samo niedosłyszalnie, jak się przed chwilą otworzyły. Na palcach przemknął i pobiegł dalej I znów znalazł się w zalanym słońcem hallu. Jego walizki stały tak jak przedtem przy drzwiach frontowych. Biegąc, Chłopiec wpadł z impetem na zegar - i potracony jakby począł wybijać godziny. Była to wysoka drżąca nuta, przynaglała. Chłopiec podniósł kilof na wysokość ramienia i z całej siły zamachnął się w dziurę pod boazerią. Papier przedarł się. Małe grudki cementu posypały się na wszystkie strony a kilof odskoczył uderzając chłopca w rękę.. Rzeczywiście, coś tam tkwiło pod cementem. Blacha, czy żelazo - coś co stawiało opór. Chłopiec próbował jeszcze raz, i jeszcze. Boazeria nad dziurą potrzaskała i porysowała się, rozdarty papier zwisał strzępami, lecz kilof w dalszym ciągu odskakiwał, odbijając się od czegoś twardego. Sytuacja pogarszała się z minuty na minutę. Ręce Chłopca, mokre od potu, ześlizgiwały się po gładkim, drewnianym trzonku. Zatrzymał się na chwilę, by zaczerpnąć tchu - i w tym samym momencie ujrzał nadjeżdżający powóz. Był jeszcze na drodze, daleko za żywopłotem okalającym sad owocowy. Jeszcze parę minut, a zrówna się z jabłonią przy samej furcie - a potem... zatrzyma się na podjeździe. - Chłopiec rzucił okiem na zegar. Znów chodził i tykał

jednostajnie - prawdopodobnie wstrząs spowodowany uderzeniem wprowadził mechanizm w ruch. To monotonne tykanie jakoś dodało Chłopcowi otuchy. Serce przestało mu tak głośno i nierówno kołatać.

"Za chwilę dym wpadnie do środka - powiedział szczurołap - tam pod podłogą nie ma wentylacji...".

"Wentylacja" - to było właśnie to zbawcze słowo. Z kilofem w ręku Chłopiec wybiegł do ogrodu. Potknął się na żwirowanej ścieżce i przewrócił. Trzonek kilofa uderzył go w czoło i nabił mu tęgiego guza. Zerwał się, pobiegł znów przed siebie. Gdy dopadł wreszcie kraty, cienka smużka dymu przedostawała się już na zewnątrz. Coś jakby się rusza... Tak, przede wszystkim podbiegną do kraty, będą łaknęli świeżego powietrza. Ale czy już to zrobili? Nie miał czasu, żeby się upewnić. Usłyszał turkot kół na żwirze podjazdu i tętent kopyt końskich. Chłopiec - jak ci już mówiłam - był dość wątłego zdrowia i miał wszystkiego dziewięć lat (nie dziesięć, jak się chwalił przed Ariettą), starczyło mu jednak sił, by z rozmachem rąbnąć w mur tak mocno, że krata oderwała się z jednego końca. Przechyliła się na ukos i zawisała na jednym gwoździu. Chłopiec odetchnął z ulgą. Teraz mógł już wracać.

Wbiegł pędem na nasyp i cisnął kilof w gęstą trawę za drzewem wiśniowym. Gdy biegł z powrotem, spocony i zdyszany, w kierunku czekającego powozu, myślał o tym, że to zaginięcie kilofa na pewno spowoduje dużo zamieszania. .

## ROZDZIAŁ DWUDZIESTY

Nie poczekał, nie sprawdził, czy wyszli? - zawołała Kasia.

- Nie mógł już dłużej czekać. Po chwili przybiegła Dorota, bardzo zdenerwowana, gdyż bała się spóźnić na pociąg. Kazała mu wsiadać śpiesznie do powozu i powiedziała, że chce wracać jak najszybciej, bo musi być i "widzieć na własne oczy ich śmierć". Taka już była ta Dorota. Kasia milczała przez chwilę, ze spuszczoną głową. - A więc jednak - rzekła po chwili - to koniec.

- Albo też - odpowiedziała pani May w zamyśleniu dopiero początek. - Ale czy oni mogli - Kasia podniosła znów głowę, a na jej twarzy malowało się szczere zmartwienie - czy oni mogli zdążyć? Jak pani myśli zdążyli uciec przez kratę czy też - mimo wszystkiego - zostali złapani? - Zdążyli uciec - odrzekła pani May wesoło. - Na pewno uciekli! - Skąd pani to wie?

- Wiem - odparła pani May, nie wdając się w bliższe wyjaśnienia. Kasia rozmyślała na głos

- Ale w jaki sposób przeszli przez pole? Przecież tam były krowy... i gawrony... i tyle różnych niebezpieczeństw? - Przebiegli pędem - tak jak to przedtem zrobił wuj Henryk ze swoją rodziną. W sytuacji przymusowej jest się zdolnym do wszystkiego. - Biedna Dominika! Taka była zrozpaczona!

- Była bardzo zrozpaczona - przyznała pani May.

- A w jaki sposób znaleźli drogę przez pole?

- Wzdłuż rury gazowej - wyjaśniła pani May. - Równoległe do tej rury przez całe pole biegła miedza. Bo widzisz, moje dziecko, gdy robotnicy kopią rów i zakładają rury gazowe, to potem zasypują ziemię, to widać od razu, gdzie ziemia była rozkopana, bo różni się zabarwieniem. - Biedna Dominika! - westchnęła Kasia. - Nie będzie miała ani swoich mebli, ani dywanów, ani herbaty, nic a nic! Jak pani sądzi czy oni zabrali coś z sobą? - O, w takich okolicznościach zawsze łapie się to, co jest akurat pod ręką - odpowiedziała pani May. Czasem najdziwniejsze rzeczy. Czytałaś chyba o rozbitek uratowanych z katastrofy okrętowej? Widocznie pani May była już zmęczona, gdyż po chwili zmieniła temat - Uważaj, dziecinko, teraz nie szary, szary po różowym! Żle zrobiłaś, będziesz musiała spruć! Kasia sięgnęła posłusznie po nożyczki, ale po chwili

znów wróciła do przerwanej rozmowy

- Biedna Dominika! Jakże przykro musiało jej być stanąć oko w oko z Lucy... teraz, gdy znalazła się w takiej nędzy, pozbawiona wszystkiego. - Przecież Lucy tam już nie było - odpowiedziała pani May z niewyczerpaną cierpliwością. - A Dominika była w swoim żywiole. Wyobrażasz ją sobie? "Och, ci biedni, głupi mężczyźni!" - oświadczyła zapewne i od razu przypasała swój gospodarski fartuszek.

- Czy byli tam sami chłopcy?

- Tak, Klawesynscy i Zegarkiewiczze. I wszyscy strasznie rozpieszczali Ariettę. - A czym oni się żywili? Czy rzeczywiście jedli gąsienice?... Jak pani myśli? - Skądże, moje dziecko! Na pewno nie! Było im tam doskonale. Nory borsucze są prawie takie jak małe miasteczka - pełne korytarzy i komór, i spiżarni. Mogli zbierać orzechy laskowe i bukowe, i kasztany. Mogli gromadzić ziarna zboża i mleć je na mąkę, tak jak to robią ludziewszystko mieli pod ręką, nie musieli nic siać ani sadzić. Na herbatę mogli zaparzać kwiat lipowy lub czarny bez. Mieli głóg i jeżyny, i poziomki. Chłopcy mogli łowić ryby w strumieniu, a piskorz był dla nich tym samym, czym makrela dla ciebie. Mieli jaja ptasie - ile tylko chcieli mogli przyrządzać kremy i ciasta, i omlety. Widzisz, oni wiedzieli, gdzie szukać różnych rzeczy. No, i oczywiście sałaty i innej zieleniny mieli w bród. Wyobraź sobie, jak soczysta musi być sałatka z delikatnych listków młodego głogu, posiekana razem ze szczawiem i z mleczem i przyprawiona macierzanką i dzikim czosnkiem! Pamiętaj, że Dominika była zawsze wyborną kucharką. To, że mieszkali tyle czasu pod kuchnią, nie było bez znaczenia. - Ale na jakie niebezpieczeństwa byli narażeni! zawołała Kasia. = Różne ptaki i zwierzęta... wrony, łasice... gronostaje... i tyle, tyle innych... - Tak, to prawda - zgodziła się pani May. - Groziły im różne niebezpieczeństwa. Ale gdzie jest bezpiecznie tylko dla nich, ale i dla nas? Oni przynajmniej nie wiedzą, co to wojna. Czy w lepszej sytuacji byli ci, co pierwsi osiedlili się w Ameryce? A ci, którzy zakładali ферmy w Afryce albo w Indiach, na skraju dżungli? Ci wszyscy nauczyli się poznawać obyczaje

zwierząt. Nawet królik wie, kiedy może bez obawy przybliżyć się do lisa gdy lis jest najedzony i wyleguje się na słońcu, bo wówczas nie myśli o polowaniu. Pamiętaj, że to byli chłopcy. Na pewno szybko nauczyli się polować, aby zdobywać pożywienie, a także bronić własnego życia. A kobiety? Nie sądzę, żeby Dominika i Arietta nie umiały się przystosować i zadomowić na polu. - Arietta na pewno poradziła sobie - rzekła Kasia.

- I ja tak sądzę - zgodziła się pani May z uśmiechem.

- Myśli pani, że często jadali mięso?

- Pewno tylko od czasu do czasu, bo przecież Pożyczalscy zajmują się głównie pożyczaniem, a nie zabijaniem. Przypuszczam, że jeśli gdzie znaleźli kuropatwę, którą upolowała łasica, to pożyczali sobie udko. - A jeśli lis zabił królika, to zabierali futerko?

- Tak - i robili z niego dywaniki i inne rzeczy.

- Przypuśćmy - mówiła Kasia z żywym zainteresowaniem - że udało im się upiec kawałek mięsa, to czy... gdyby dorzucili kulek głogu bez łupinek... te kulki miałyby smak podobny do pieczonych kartofli? - Prawdopodobnie - rzekła pani May.

- Ale przecież nie mogli ani piec, ani gotować w norze borsuka! Musieli rozpałać ogień gdzieś pod gołym niebem. A co robili, żeby nie marznąć w zimie?

- Wiesz, co ja myślę? - rzekła pani May, odkładając robotę i przechylając się ku przodowi. - Myślę, że oni wcale nie zamieszkali w tej norze borsuka. Przypuszczam, że potraktowali tę norę, razem z jej wszystkimi korytarzykami i komorami, jak wielki przedsiwonek. Nikt prócz nich nie znał sekretnych przejść przez liczne tunele do ich prawdziwego miejsca zamieszkania. Pożyczalscy lubią korytarze i lubią bramki. I lubią urządzać się tak, żeby pomieszczenia, w których mieszkają, znajdowały się daleko od głównego wejścia. - A więc gdzie mieszkali naprawdę? - spytała Kasia.

- Zastanawiałam się nad tym - odparła pani Mayi myślę, że chyba koło rury gazowej. - O, tak! - zawołała Kasia. - Teraz już wszystko rozumiem! - Grunt jest tam miękki i piaszczysty. Wyobrażam sobie to tak wprost z nory borsuka przedostali się pod rurę gazową i wykopali okrągłą komorę na jednym poziomie z tą rurą. I dokoła tej okrągłej komory pobudowali małe pokoiki, takie jak kabiny. Potem - tak sobie wyobrażam - wyborowali w rurze trzy dziurki. Te dziurki były takie małe, że prawie niewidoczne gołym okiem. Jedna

z nich paliła się stale i dawała światło, a dwie pozostałe były zaopatrzone w malusieńkie zatyczki, jakby kurki od gazu. Na tych dwóch gotowali, a ten najmniejszy dawał stale światło.

- Czyżby byli tacy inteligentni? - zapytała Kasia z powątpiewaniem.

- Oni są bardzo inteligentni - zapewniła pani May. W każdym razie na tyle inteligentni, żeby mieszkając w pobliżu rury gazowej, domyślić się, że mogą zrobić użytek z gazu. Pamiętaj, że to są Pożyczalscy! - Ale czy nie był im potrzebny lufcik?

- Oczywiście, mieli także i lufcik.

- Skąd pani wie?

- Bo któregoś dnia gdy przechodziłam tamtędy, poczułam zapach pieczeni. - Och! - zawołała Kasia; skuliła się i przyklękła na stołeczku. - A więc pani przechodziła tamtędy? A więc pani ich widziała? - Nie, nie! - odparła żywo pani May, odchylając się nieco w tył na swym fotelu. - Nie widziałam ich nigdy.

Nigdy! - Ale przecież pani przechodziła tamtędy! Pani wie coś jeszcze i nie mówi wszystkiego! Czuję, że pani coś jeszcze wie! - Przechodziłam tamtędy - powtórzyła pani May patrząc na Kasię, na jej twarzyczkę, na której malowało się podniecenie. Wahała się przez chwilę, jak gdyby czuła się wobec niej winna. - Opowiem ci wszystko, co chciałabyś wiedzieć. Otóż przyjechałam wtedy właśnie, gdy ciotka Zofia zamierzała pójść do kliniki. Wiedziałam, że ten dom ma być wkrótce sprzedany, i postanowiłam pani May znów zawahała się przez chwilę, nim wreszcie przyznała się nieśmiało - Wyjęłam wszystkie mebelki z domku dla lalek, włożyłam je do powłoczki i zniosłam... Za swoje kieszonkowe pieniądze nakupiłam różnych rzeczy herbaty i kawy, i soli, i pieprzu, i

główkę czosnku, i dużą paczkę cukru w kostkach. I dołożyłam do tego kilka motków jedwabiu pozostałych z reperacji kołdry. I dodałam parę ości rybich, żeby mieli igły. I włożyłam jeszcze malutki naparsteczek, który dostałam na Gwiazdkę, i całą kolekcję gałganków, i kilka herbatników, które miałam w pudełku po czekoladkach... - Ale nie widziała ich pani?

- Nie, mówiłam ci już przecież, że nie widziałam ich nigdy. Całymi godzinami siedziałam na nasypie pod żywopłotem. Był bardzo ładny, przerośnięty wijącymi się korzeniami głogu, pełen dziur w piasku. Rosły tam fiołki leśne i prymulki, i dzwoneczki. Z wierzchu nasypu widać było w promieniu kilku mil pola, lasy i doliny, i wijące się drogi, a także kominy domu. - Może to nie było odpowiednie miejsce?

- Nie przypuszczam. Pewnego razu, gdy tak siedziałam na trawie, pół drzemiąc, pół czuwając i obserwując mrówki i różne chrząszcze, znalazłam wydrążoną żołądź. Była gładka, jak wypolerowana, i wysuszona, i miała dziurkę z jednej strony, a z drugiej skazę, jakby była pęknięta... - Czajniczek do herbaty! - wykrzyknęła Kasia.

- I ja tak myślałam. Oglądałam żołądź ze wszystkich stron, ale nie mogłam znaleźć dziobka. Zaczęłam wołać, nachylałam się nad wszystkimi dziurami w ziemi, takjak to robił mój brat, ale nikt mi nie odpowiedział. Gdy przyszłam nazajutrz na to samo miejsce, stwierdziłam, że powłoczki już nie było.

- Zniknęła razem z zawartością?

- Razem z zawartością. Przeszukałam wszystko skrzętnie dokoła, myślałam, że może znajdę gdzieś jakiś gałganek; motek jedwabiu lub ziarnko kawy. Ale nigdzie nic nie było. Oczywiście, mógł ktoś przechodzić tamtędy i zabrać powłoczkę. Tego samego dnia - mówiła dalej pani May i uśmiechnęła się - poczułam zapach pieczenia.

- A kiedy - zapytała Kasia - którego dnia znalazła pani dzienniczek Arietty?

Pani May odłożyła robótkę.

- Kasiu - zaczęła zmienionym głosem, a po chwili uśmiechnęła się niezdecydowanie kto ci to powiedział? I twarz jej oblała się rumieńcem.

- Sama odgadłam - odparła Kasia. - Domyśliłam się, że jest tu jakiś sekret, coś, czego pani nie chce mi powiedzieć. Bo to tak, jakby... jakby pani czytała cudzy pamiętnik.

- To nie był pamiętnik - odpowiedziała pani May śpiesznie, ale zarumieniła się jeszcze bardziej. I nie był właściwie dziennik. Był to notatnik, książka z wieloma pustymi stronicami. Tu właśnie Arietta zapisywała niektóre wydarzenia ze swego życia. Znalazłam ten notatnik w trzy tygodnie później - w przeddzień mojego wyjazdu. Kasia siedziała w milczeniu i nie odrywała oczu od pani May. Po dłuższej chwili westchnęła głęboko. - A więc to jest dowodem - rzekła - że istniały te podziemne mieszkania i te wszystkie inne rzeczy.

- Niezupełnie - rzekła pani May.

- Dlaczego? - zapytała Kasia.

- Arietta stawiała literę "e" jak mały półksiężyc, z kreseczką pośrodku. - No, więc co z tego? - zapytała Kasia.

Pani May sięgnęła po swoją robótkę i uśmiechnęła się.

- Mój brat miał zupełnie taki sam charakter pisma.

Z cyklu książek o Pożyczalskich wydano następujące tomy

KŁOPOTY RODU POŻYCZALSKICH:

POŻYCZALSCY IDĄ W ŚWIAT

POŻYCZALSCY NA WYSPIE

POŻYCZALSCY W PRZESTWORZACH

KONIEC